**Rok VII.** Lwów, Niedziela dnia 5. Września 1880 r. **Tom XI.**

# TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 36.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
**W KSIĘGARNI POLSKIEJ**
*L. 14 plac Halicki.*

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

## SZKOŁY RZEMIEŚLNICZE.

Założona niedawno szkoła rzemieślnicza w Przemyślu, a to staraniem Towarzystwa Pedagogicznego, nasuwa nam niektóre uwagi, które tem skorzej wypowiadamy, że pozostają w styczności ze sprawą tak zwanej pracy organicznej.

Już od lat dwudziestu, odkąd zawitała era konstytucyjna, mówimy wiele, piszemy o potrzebie dźwigania przemysłu fabrycznego o wyemancypowaniu się od hegemonji przemysłowej i ekonomicznej zachodnich prowincji monarchji; tu i owdzie czynią się zabiegi, starania, mniej więcej nawet dość energiczne, często wytrwałe; kapitałów nie brak w kraju, skoro zakłady obniżają stopę procentową od lokowanych pieniędzy, a często nawet ich nie przyjmują, a jednak jakże mało zrobiono, jak wiele jeszcze do zrobienia. Tu i owdzie wcale korzystnie objawia się rozwój przemysłu domowego, ale Rymanów, Zakopane, Skotniki itd. toć przecie dopiero drobinowa cząstka tego, co być może, a być powinno w kraju naszym, jeżeli nie chcemy do szczętu zubożeć pod naciskiem własnej martwoty, a ruchliwości obcych.

Wiemy też wszyscy o tem i narzekamy ogólnie, lecz nie wszyscy dociekamy przyczyn tych smutnych stosunków. Nie przyznajemy sobie zasługi odkrycia w niniejszym artykule czegoś, coby mogło być specyficznem lekarstwem na choroby nasze ekonomiczne, to atoli, o czem mówić zamierzamy, jest niezawodnie bodaj jednym z radykalnych środków kuracji.

Staramy się o rozwój przemysłu fabrycznego, a zapominamy, iż takowy nie da się sztucznie zasadzić w społeczeństwie, które do niego nie jest przysposobione. Przemysł fabryczny nie jest jedynie produktem rzuconego weń kapitału, ale owocem cywilizacyjnej pracy narodu, objawem intelektualności jego, niejako ukoronowaniem szczytnie rozwiniętego rękodzielnictwa. Czy jest kraj jaki na świecie, w którymby społeczeństwo wytworzyło przemysł fabryczny, nie rozwinąwszy poprzednio do najwyższej doskonałości rzemiosła? Prawdziwie ukształcony w zawodzie swoim rzemieślnik, nie poprzestaje na zdobytej sobie, często niedołężnej rutynie, ale dąży do udoskonalenia wyrobów swoich, a w ślad za tem iść musi dążenie do udoskonalenia narzędzi pracy, siły roboczej, warsztatu. To też z tych dążeń wynika konieczność zastąpienia siły ręcznej machiną, czyli zamiany warsztatu na fabrykę. I to jest zupełnie naturalna geneza przemysłu fabrycznego — bo rozwinął go do pewnego stopnia rzemieślnik wykształcony, postępowy, a gdy stanął u granicy, gdzie kończy się rzemieślnik a zaczyna fabrykant, nie zawodnie zjawi się kapitał, który warstat rzemieślnika w fabrykę zamienić pomoże. Jest to naturą kapitału, że rzuca się śmiało tam, gdzie ma przygotowany grunt do operacji, do produkcji, do wzrostu, a lęka się nieznanego sobie pola.

Największe fabryki świata wyrosły z warstatu, najwięksi fabrykanci z rzemieślników. Przypominamy tylko, że słynna na świat cały fabryka ołówków Fabera, była z końcem XIII. wieku skromnym warstatem rzemieślniczym w Stein pod Norymbergą; sławny Girard, twórca fabryki płócien w Żyrardowie (od jego nazwiska nazwanym) pod Warszawą, był tkaczem, zanim został fabrykantem; sławny swojego czasu Krystyn Majer, pierwszy w Niemczech fabrykant lasek, był stolarzem w skromnym warstacie swojego ojca; pełen zasług dla rodaków Wawrzyniec Gębicki, właściciel olbrzymiej fabryki nożów w New Yorku (od 1835—53) był kowalem z Sandomierskiego; głośna dziś na świat cały, a olbrzymia fabryka maszyn do szycia Singera, wyrosła z warstatu ślusarskiego.

Nie można twierdzić, jakoby *każda* fabryka *musiała* wyradzać się z warstatu jak motyl z gąsienicy, owszem: powstają i utrzymują się fabryki powstałe same z siebie, ale pamiętać należy, że powstają one tam jedynie, gdzie już rzemiosło rozwinęło się, dojrzało i zrodziło konieczność fabryk, gdzie już istnieje naturalna ich potrzeba, wynikająca z owego rozpierania się rękodzielnictwa na obszerniejsze pole przemysłu fabrycznego.

We wszystkich stosunkach i objawach życia, w całem gospodarstwie przyrody — wszędzie znajdujemy analogiczne zastosowanie prawa organicznego stopniowego rozwoju tego, co istnieje. Nie można nauczyć się filozofji, nie nauczywszy czytać; nie można wyrość na dojrzałego mężczyznę wprost z pieluch; roślina też nie wydaje owoców, gdy nie miała kwiatu; społeczeństwa nie tworzą organizmów politycznych, jeżeli nie poczuły potrzeby politycznej organizacji; narody nie tworzą literatury i sztuki, jeżeli nie stworzyły historji; nie powstanie filozofja, gdzie nie było religji i poezji; nie rozwinie się handel gdzie nie ma potrzeb życia i produkcji; nie rozwinie się też przemysł fabryczny, dopokąd nie ma rozwiniętego rękodzielnictwa.

Nie potrzeba wcale dowodzić, iż rzemiosła u nas, z małymi wyjątkami, jakie widzimy, w obu stolicach kraju i kilku większych miastach, są tak zaniedbane, tak niedołężnie wykonywane, iż nie tylko o szczytnym ich rozwoju mówić nie możemy, ale nawet śmiało rzec można, iż nie doszły do miary najskromniejszej. Dlaczego? Przypatrzmy się historji rzemieślnika. Dziecko ubogich rodziców, wyrasta w brudzie, w nieładzie życia, śród najgorszych przykładów, bez żadnego wychowania, nauczy się w szkole cokolwiek czytać i pisać i w najlepszym razie po trzech lub czterech latach nauki elementarnej, dostaje się do terminu. Terminator nosi wódkę panom czeladnikom, kołysze dzieci pani majstrowej, roznosi rachunki pana majstra, jest posługaczem całego warstatu, popychaczem sługi,

zabawką dzieci pryncypała, słowem wszystkiem, jeno nie uczniem rzemiosła. A jeżeli już nauczy się łatać, a wreszcie robić samodzielnie, to Boże zmiłuj się nad tą zdobyczą wiedzy. Nauczył się czego? Dać materjał jak najgorszy, byle najtańszy, zrobić jak bądź, byle prędko. W takiej nauce wyrósł, takiej udziela innym, zostawszy majstrem.

Powtarzamy, że są wyjątki chlubne, nawet znamienite, ależ jak ich mało od Bukowiny po Szląsk. Zanosi się już na szczęście na zmianę ku lepszemu, dzięki genjalnej myśli i najszlachetniejszej ofiarności hr. Skarbka. Zakład sierot w Drohowyżu kształci młode pokolenie rzemieślników, a kształci je i na ludzi i na robotników zdolnych, sumiennych, postępowych; to jednak nie wystarcza. Co roku opuści zakład 30 lub 40 wykształconych w rzemiośle ludzi, ale ta garstka zniknie w tysiącach, a czy osamotniona potem, rozproszona, rozbita, zatrzyma w całości uniesione z zakładu zasady, wiadomości, wszystko, co w nią wpajano przez lat ośm? Ileż to lat potrzeba, aby się zapełniły wszystkie miasta i miasteczka całego kraju rzemieślnikami tak kształconymi, jak w Drohowyżu? Ileż to lat potrzeba, aby się wyrobił grunt, któryby słabszych nie pochłonął, lub nieotrętwił, ale ułatwił zastosowanie praktyczne tego, co z zakładu wynoszą?

Niedość zakładu jednego w Drohowyżu, który zresztą ma cel humanitarny przytulenia opuszczonych sierot, a nie ściśle naukowy, lub społeczny; chcąc mieć zdolnych rzemieślników, trzeba pozakładać *szkoły rzemieślnicze*. Teraz właśnie zbliża się nawet pora, w której o tem pomyśleć będzie potrzeba koniecznie. Przypatrzmy się jeno przepełnieniu szkół średnich. Z każdym rokiem wzrasta liczba uczniów, z każdym rokiem przybywa ludzi, co ukończyli szkoły średnie i wyższe, a daremnie oglądają się za stanowiskiem w zawodach urzędniczych, w zawodach pracy umysłowej. Nie obawiamy się wcale hyperprodukcji inteligencji, ale pragniemy, aby nie skupiała się jeno w biurach urzędowych, lecz rozlewała we wszystkie zawody, we wszystkie warstwy społeczne. Nie gniewamy się i nie bolejemy nad przepełnieniem szkół średnich, ale pragniemy, aby nie uważano szkoły za drogę do posady adjunkta, starosty, profesora, księdza, adwokata, lekarza, ale za środek do wykształcenia człowieka, a wykształconych ludzi pragniemy zarówno widzieć za stolikiem zielonym w urzędzie, jak i za warstatem. Dziś czy to ubogi wieśniak, czy rzemieślnik, czy człowiek z inteligencji, każdy pchając dziecko, choćby nie mające talentu, przez szkoły, pragnie je widzieć w sferze inteligencji, a że inteligencja skupia się dotąd przeważnie tylko w zawodach pracy umysłowej, ztąd też przepełnienie w nich ogromne, a brak już chleba i miejsca dla nowych kandydatów. Do rzemiosła! do warstatu! zawołać musi wkrótce cały tłum młodzieży, żądnej pracy i stanowiska. Ale którędyż droga?

Z ławy szkolnej wprost za warstat nie można stanąć, bo się nie umie rzemiosła; uczyć go się w terminie, któż znajdzie odwagę wobec tego, co się wyżej powiedziało? Gdzież wykształcony ojciec, gdzież rozsądna matka, którzyby rzucili swe dziecko na pastwę dzisiejszym stosunkom terminowania? Trzeba więc szkół specjalnych, rzemieślniczych, do którychby przyjmowano dziatwę po skończeniu szkoły ludowej. W szkole tej, prócz nauki właściwego rzemiosła za warstatem, należałoby uczyć podobnie jak w Drohowyżu: rysunków odręcznych i linearnych, języków, korespondencji zwykłej i handlowej w tych językach, matematyki i rachunkowości, historji powszechnej i ojczystej, historji handlu, przemysłu, sztuki, słowem historji cywilizacji, geografji ogólnej i handlowej, statystyki, szczególnie statystyki przemysłowej —słowem tego, z czem każdy rzemieślnik styka się w życiu, lub zetknąć powinien, a czego nie rozumie. Oczywista rzecz, że nauk tych nie możnaby udzielać sposobem akademickim, umiejętnie, ale popularnie w ogólnych zarysach, stosownie do wieku i do potrzeb uczniów.

Że szkoły rzemieślnicze są potrzebne, wykazaliśmy; że się zapełnią nawet doborową młodzieżą, nie ulega wątpliwości. W zaborze rosyjskim system polityczny usuwa młodzież polską od zawodów umysłowych, a zapędza ją do rzemiosła i handlu; u nas toż samo stworzy przepełnienie w szkołach średnich i w zawodach umysłowej pracy. Ileż to dziś skutkiem tego przepełnienia tworzy się proletarjatu inteligencji? Jednych brak miejsca, brak posady rzuca na bruk, innych brak zdolności do ukończenia nauk, lub brak środków materjalnych. Gdzież się podzieją, gdy po warstatach ohydna ciemnota, zacofanie, brak najkardynalniejszych pojęć dobrego wychowania, przyzwoitości? Stwórzmy fachowe, a przyzwoite szkoły rzemieślnicze, otwórzmy drogę nową talentowi narodowemu, a stworzymy i podstawę przemysłu fabrycznego: rozwinięte rzemiosło i prawdziwie wykształcony stan mieszczański, owo jądro życia społecznego i narodowego. Ileż rodzin błogosławić będzie te nowe instytucje! Tu ojciec wykształcony a niezamożny, ma syna bez wybitnych talentów, z uszczerbkiem reszty rodziny przepychanego przez szkoły, aby ujrzeć go kiedyś bodaj kancelistą, czyli białym murzynem, nędzarzem. Dałby go chętnie do rzemiosła, ależ nie na praktykę do dzisiejszych majstrów. Odda go do szkoły i zapewni dziecku stanowisko i byt, lepsze od żmudnej a niewdzięcznej pracy podrzędnego funkcjonarjusza urzędowego.

Zkąd na to funduszów? jak wziąść się do tego? Zacznijmy od małego. Wszak mamy kilkadziesiąt tysięcy zebranych w roku 1872, które jeszcze stanowczo ostatniego przeznaczenia nie mają; czyżby nie można obrócić tego kapitału na założenie jednej szkoły rzemieślniczej we Lwowie? Nie ma prawie roku, żeby nie było jakiegoś zapisu dobroczynnego na cele publiczne, na stypendja, na szkoły itd. Gdybyśmy się na serjo a energicznie wzięli do szkół projektowanych, ofiarność prywatna skierowałaby się niezawodnie na tę drogę. Z czasem i gminy udzielałyby pomocy, a przecież i sejm nie usunąłby się od popierania tego, co niezawodnie jest jednem ze źródeł, z których wytrysnąć ma odrodzenie się narodu.

Niech tu inicjatywę bierze kto chce, byle wziął i działał; niech stanie się według słów Krasińskiego: „Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam.“ Dziennikarstwu powierzono czuwać na! dobrem publicznem, niech więc zwróci uwagę na słowa nasze, a my odstępujemy chętnie innym pismom prawo rozwijania rzuconej tu myśli.

---

# Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

*(Ciąg dalszy).*

## X.

## Zbieg okoliczności.

Cudowne Łobody wskrzeszenie, nie było ani wskrzeszeniem, ani cudem żadnym, a prostem wylizaniem się z ran, które otrzymał, zasłaniając ciałem swojem jenerała od infanterji, starostę buskiego. Udało się mu to nadpodziw. Wojska stały w pogotowiu. Król, podówczas hetman jeszcze, słuchał mszy pod namiotem. Działa z szańców tureckich grzmiały, ostrzeliwając pozycje. Od skrzydła lewego dochodził trzaskot broni ręcznej i przybywały co chwila wieści, które się po szeregach rozbiegały. Wieść pierwsza była niepomyślna. Zwiastowała ona śmierć pułkownika kozackiego Motowidła, który przed brzaskiem dnia jeszcze na szańce tureckie skoczył.

— Zamotał się — powiadano — czemu na rozkazanie hetmańskie nie czekał?...

Motowidło porwał się bez rozkazu, albo raczej wbrew rozkazowi. Śmierć jego uważano za karę słuszną.

— Dobrze mu tak... Ręka go świerzbiała... głową nałożył...

Wieść następna przybyła równocześnie prawie z rozgłosem broni ręcznej, podczas kiedy jeszcze wszystko w liniach stało, a jenerał Kątski objeżdżał baterje, zatrzymując się przy każdej i dając puszkarzom instrukcje, które im wykładał słowami i giestami. Instrukcje jego tyczyły się szczególnie tego, żeby się nie spieszyć, celować dobrze i za wystrzałem każdym uważać pilnie, gdzie kula upadnie. W czasie tym ozwało się strzelanie przed frontem od skrzydła lewego i po szeregach nazwisko Łączyńskiego, który pułkom cudzoziemskiego autoramentu przewodniczył, przebiegło. Starosta miał wziętość ustaloną. Nazwisko jego stało się niejako, dla oczekujących na rozkazy iścia naprzód, rękojmią powodzenia. Z niecierpliwością wyglądano hasła.

Te z oddziałów, co na lewem znajdowały się skrzydle, widziały w dali bielejące się obłoki dymów, w których się kąpał jenerał stary. Radeby spieszyć tam— w dymy te. Rozkaz przykuwał je na miejscu. Sród oddziałów tych znajdowała się chorągiew, w której służył imć Łoboda; Łączyński obchodził go szczególnie.

Stoją, czekają, w tem patrzą, goniec bieży. Po uzbrojeniu poznano, że do cudzoziemskiego należy autoramentu. Domyślano się, że od jenerała i chciano go zatrzymać.

— Stój! poczekaj!... co słychać?...— wołano.

Nie zatrzymał się, popędził.

Po chwili niejakiej wrócił. Tym razem zatrzymał się.

Oto co się stało. Goniec odszukał

Sobieskiego w przyrządzonym na kaplicę polową namiocie mszy słuchającego; podszedł doń i wsunął mu w ucho wyrazy: »Jenerał Łączyński o sukurs prosi... nie wytrzyma«...

Hetman wnet na jednego z przybocznych kiwnął i do ucha mu słów parę szepnął; gońcowi zaś nakazał z zapewnieniem sukursu rychłego powracać, a, na uwagę tego ostatniego, że nie dojedzie może, polecił mu wziąć sobie po drodze ku pomocy kogo.

Przyboczny hetmański ze swojej strony polecenie dostał. Odnosiło się ono do księdza, mszę przed ołtarzem odprawiającego, a polegało na tem, że przy ołtarzu z boku stanął i co chwila w następujący z przyciskiem odzywał się sposób:

— Księże dobrodzieju... a prędzej-że!... a prędzej tam!...

Goniec, z namiotu wyszedłszy, na koń wskoczył, puścił się z kopyta pędem całym, parł co tchu starczyło i, zatrzymując się przed rotmistrzem, dowodzącym chorągwią, w której imć Łoboda służył — zawołał:

— Z polecenia hetmana, żądam od waszmości wyprawienia towarzysza jednego, w celu, na wypadek gdybym zginął, zaniesienia jenerałowi ordynansu hetmańskiego!...

Rotmistrz, czasu jeszcze odpowiedzieć nie miał, kiedy już przed nim Łoboda stał.

Rotmistrz skinął. Imć Łoboda, koniowi w bokach ostrogi topiąc, z miejsca się kopnął i pędząc czas jakiś obok gońca, dowiedział się od tego, o co chodzi. Dojeżdżając do miejsca, rozłączyli się. Jeden wziął się na prawo, drugi na lewo, ku jednemu zmierzając celowi, który przedstawiał się pod postacią w połowie faszynami zarzuconego, w połowie ziemią zasypanego rowu, za którym wznosił się okop na pół rozwalony, broniony przez trzy obarykadowane kamieniami i trupami kolumny piechoty. Pomiędzy kolumnami widniały się przerwy, za wielkie, ażeby jedna drugą wspierać wstanie była, tak że wojska tureckie atakować je mogły z frontu i z boków. Rzucało się w oczy urządzenie obrony naprędce, na gorącą — jak to powiadają — rękę. Kolumny janczarskie, raz po raz odrzucane, raz po raz zwracały się.

Łoboda przed rowem z konia zeskoczył i nie bez trudu dostał się do jednej z piechoty autoramentu cudzoziemskiego kolumn, która tylko co atak odparłszy, do odbierania nowego się gotowała. Żołnierze, cudzoziemcy niby, w istocie zaś Maćkowie i Bartkowie, Hrycie i Iwasie, przedmuchiwali muszkiety i opatrywali skałki, czyniąc uwagi do okoliczności zastosowane.

— Psią krew!... — powiadał jeden.

— Trysta joho mamu!... — wygłaszał drugi.

— *Gibach!* — krzyknął oficer.

W chwili tej właśnie wpadł Łoboda i:

— Gdzie jenerał?... — ciężko dysząc zapytał.

Oficer pałaszem wskazał mu w prawo.

Jenerał stał na przedzie, przypatrując się gęstej kolumnie, która poprzedzana przez rozsypanych w łańcuch oczajduszów *(delich)*, do ataku spieszyła. Kolumna ta miała na celu posterunek polski obok stojący.

— Jenerale!... — zawołał Łoboda — hetmański ordynans: trzymać się póki posiłki nie nadciągną!

Starzec spojrzał na posłańca, jakby go zjeść chciał. Mruknął słów kilka pod nosem i rzuciwszy słów kilka stojącemu obok pułkownikowi, skoczył z zadziwiającą w latach jego rzeźkością ku posterunkowi zagrożonemu. Był to krok zuchwały. Turcy tuż tuż dobiegali, nie omieszkali też starostę otoczyć i byliby go do posterunku nie dopuścili, gdyby nie Łoboda. Starosta opędzał się szablą Turkom, których co chwila przybywało, gdy ten wpadł, starca wyzwolił i na siebie burzę całą zwrócił.

I Łoboda, broniąc się długo i dzielnie, w końcu przemocy uległ.

Ponieważ jednak, jak z rozdziału poprzedniego wiemy, ze starościanką się ożenił, nie zginął więc.

Nie. Wypadek ten, zakończający troski wszelkie, nie spotkał go. Potłuczony, zbity, pokłuty, porąbany, pozostał na pobojowisku. Nad głową jego wrzała, wichrzyła się bitwa. W niemocy, w jaką go upływ krwi wtrącił, słyszał, ruszyć się nie mogąc, wrzawę ogromną, której istotę stanowiły huk, tentent i chrzęst. Szczęściem, leżał na gruncie niesposobnym do działania jazdy: inaczej byłby stratowany nieochybnie. Chwilami tracił przytomność, odzyskiwał ją jednak na nowo, aż postradał takową zupełnie i ku niemałemu zdziwieniu swemu, zbudził się niby z długiego, ciężkiego snu w schludnej jakiejś izbie, na łóżku zawieszonem jakby kotarami. Chciał się udźwignąć — nie mógł. Pomimo zasłony widno było; spojrzał na ręce własne i zdumiał się ogromnej takowych chudości i przejrzystości. Uczuł przytem bandaże na sobie; był jakby spowity — obwiązaną miał głowę, poobwiązywane ręce i nogi, przewiązaną pierś. Słyszał ruch jakiś i rozmowę dość głośną, z której wyrazu żadnego w słuch zachwycić nie mógł. Podniósł głos — przemówił; sam czuł jednak, że przemówienie jego słabo bardzo zabrzmiało. Mimo to, snadź dosłyszano odezwania się jego, albowiem z pośród zas on wysunęła się głowa; para oczów, które mu się bardzo jasnemi wydały, popatrzały na niego; głowa się usunęła i wyrazów kilka w ucho mu padły. Wyrazy te do obcej jakiejś należały mowy.

— Gdzie ja jestem?... Co się ze mną dzieje?... — zapytał sam siebie.

Mętnie jakoś snuł mu się w pamięci bój. W wyobraźni jego odtwarzał się obraz, na który zdawało się mu, jakby patrzył. Widział starostę buskiego i siebie — i Turków tłumy niezliczone, tłoczące się ze stron wszystkich. Miał jednak poznania na tyle, że uznawał, iż to nie jest, a było, ale — ale kiedy? — przed chwilą?... dziś?... wczoraj?... Czas usunął się niejako z pod pojęcia jego. Nie umiał się zmiarkować. Zdawało mu się niekiedy, że słyszy jeszcze wrzawę bojową, to znów słuch jego tonął w ciszy głuchej, w której bębniła jeno gadanina jakaś niezrozumiała. Począł się w ciszę tę wsłuchiwać. Po niejakimś czasie rozróżniać począł warczenie jakoweś.

— Na Boga! gdzie ja?... — zawołał jak mógł najgłośniej.

Znów się zasłony rozwarły i znów śród nich pokazała się głowa. Tym razem atoli wnet po głowie wysunęła się postać niewieścia, która się do łoża zbliżyła i napój mu w glinianem podała naczyniu.

Napił się. Zapytał:

— Ktoś ty?...

Niewiasta uśmiechnęła się, pokazując mu szeregi zębów białych.

— Gdzie jestem?...

— *Czi maj poftieszti?*

Z odpowiedzi tej nie dowiedział się niczego.

— Przemów do mnie po ludzku przecie... — rzekł prośby tonem.

— *Tacz omule, szi sy te cyn bine...* — odrzekła łagodnie.

— Bodajeś pękła moja kochana!... — powiedział na to.

Poznawszy, że się nie dopyta niczego, zamilkł i pogrążył się w rozmyślanie, które tym razem do żadnego ująć się dającego nie doprowadziło rezultatu. Mąciło mu się w głowie co raz to mocniej, aż się zamąciło tak, że znów na czas jakiś przytomność postradał. Znów ją jednak odzyskał. I tak szło przez czas jakiś; w końcu jednak doszło do tego, że poczół, iż jest rannym, chorym, leczonym i doglądanym, że się znajduje w otoczeniu ludzi narodowości obcej i że kiedy niekiedy dźwięki mowy rodzinnej o uszy się mu obijają. Przyjście do poznania tego było początkiem przychodzenia do zdrowia.

Przychodzenie do zdrowia jednak odbywało sie bardzo powolnie. Turcy dogodzili mu nie źle, zwłaszcza zaś pod względem upuszczenia krwi. Szczęściem dla niego, nie nadwerężyli mu członka żadnego. Kości miał całe, arterje nie poprzecinane, muszkuły jeno i ciało potłuczone w ten mniej więcej sposób, w jaki kucharze tłuką mięso na uczynienie onego kruchem; przytem stawy niektóre były jakby poskręcane, co mu sprawiało ból dotkliwy. Ztąd zdrowie mu powracało powoli. Powracało jednak i w momencie pewnym pozwoliło mu rozmówić się z człowiekiem, który do niego po polsku się odezwał.

— Gdzie jestem?...

— W Kilanesztach.

— U kogo?...

— U Mołdowanów.

— Cóż?... jakżem się tu dostał?...

— Zabrali waszmościa z pobojowiska.

— Dawnoż to?...

— Aha!... — odpowiedział zapytany — Pamięci nie ma... Leżałeś waszmość przez zimę całą... a oto, Bogu dzięki, już i wiosna.

— Tak długo!... Jam nie myślał, ażeby od potrzeby pod Chocimem czasu upłynęło tyle...

— Boś był bez pamięci... Razy parę tak się zdarzyło, iż zdawało się, żeś już na tamten wyniósł się świat... Ale... Bóg łaskaw...

W rzeczy samej, łaskawym okazał się Bóg na szlachcica młodego. Leżał na po-

*

bojowisku przez dni parę; kiedy zbierano rannych, jego pominięto; dopiero gdy spędzono z okolicy lud, w celu grzebania trupów, człowiek co miał go do jamy wrzucić, uderzony giętkością członków jego, zabrał go na wóz, na wieś zawiózł i do zdrowia przywrócił. Odżył więc Łoboda nasz i do zdrowia powracał. Rodzina wieśniacza otaczała go troskliwością, na jaką jeno zdobyć się mogła. Nie brakowało mu na niczem, ani na znachorce nawet, która przychodziła i od czasu do czasu szeptała. Przewijanie ran i w ogólności obchodzenie się z takowemi pozostawiało do życzenia wiele. W tym atoli względzie młodość zastąpiła sztukę. Powrót do zdrowia opaźniał się, nadchodził jednak, nadchodził wraz z wiosną. Gdy natura odżyła, odżył i nasz Łoboda, zwlókł się z łoża, wyszedł na powietrze świeże, usiadł na przyźbie i reperował siły dwoma potężnemi terapeutycznemi środkami: powietrzem i słońcem.

Rodzina mołdawska znajdowała się w komplecie. Składała się z ojca, z matki i z kilkorga płci obojej dzieci, śród których miejsce zajmowała *fata formuszika:* — oczy czarne, zęby białe, płeć śniadawa, latek ośmnaście. Była to rodzina mazyłów — rodzaj rolników-rycerzy — miała się nie źle; na wypasach posiadała trzodę bydła i owiec, w chałupie panował dostatek, gospodyni zajmowała się tkactwem, w czem jej córka starsza pomagała. Owej to córki oblicze ukazało się szlachcicowi naszemu śród zasłon, kiedy po raz pierwszy od czasu utraty przytomności, przytomność mu w głowie na nowo zaświtała. Dziewczyna przypatrywała się rekonwalescentowi z zajęciem — cóż jednak z tego! Rzecz ważna, jeżeli nie główna: porozumieć się niemogli. Kiedy Łoboda przemawiał do niej, ona odpowiadała:

— *Nu ęcelek nicz o horba...*

Kiedy do niego przemawiała ona, on jej odpowiedź powyższą w wiernem dawał tłumaczeniu:

— Nie rozumiem ani słówka...

Zresztą Łoboda miał serce zajęte, odnosił się myślami do Krzysi i na świeżą, hożą a ognistą Mołdowankę patrzył nie inaczej, jak na miarę porównania. Widok mazyłki wywołał w nim wspomnienia starościanki.

— Hej, hej!... — myślał sobie — byle mi rychlej do domu powrócić...

Rzecz dziwna — nie przychodziło mu na myśl nigdy, ażeby go spotkać mogło to co Słowackiego na piramidach, to jest, ażeby się dowiedział, że »tfu!... za mąż poszła.« Ufał w siebie, w gwiazdę swoję; wykręciwszy się z rąk śmierci, dwukrotnie tego był przekonania, że go Pan Bóg do wielkich stworzył przeznaczeń. Przeznaczeń owych wszakże nie rozumiał — nie formułował sobie inaczej jak we dwójkę: on i ona.

Jak skoro przeto do sił dostatecznie przyszedł, podziękował pięknie mazyłowi i mazyłce, pożegnał się z nadobną *fatą*, obcałował dzieci i pociągnął w progi rodzinne, pod Starokonstantynów.

Na pobyt jego w domu ojcowskim zasłonę rzucamy, a rzucamy ją nie dla tego, ażeby miało być w tem co ubliżającego sławie młodego Łobody, ale dla tego, ażeby nadmiernie nie rozciągać opowiadania, które i bez tego posiada materjału dosyć. Ustęp ten z życia jego może czytelnik sam sobie przedstawić. Powrót w progi rodzinne, jestto przedmiot często i przez zdolniejsze od naszego obrabiany pióra. Zajmowali się nim i malarze. Kto nie zna obrazu Lefleura, arcydzieła w rodzaju swoim? Pomijamy więc to, jak stary Łoboda i stara Łobodzina witali syna, jak go podejmowali przez czas parumiesięcznego pobytu jego pod strzechą rodzinną, jak go w końcu znów żegnali. Prokop, zaopatrzony w rodzicielskie błogosławieństwo i w pewną ilość talarów bitych, które miał na ciele gołem, po raz trzeci wyruszał w świat, losu szukać. Ojciec radby był zatrzymać go już i radził mu pozostać przy zagonie. Prokop byłby może poszedł za radą ojcowską; — lecz... ciągnęło go coś. Uśmiechała się do niego przyszłość, ozłocona postacią płowowłosej, modrookiej dziewczyny.

Dla tej to przyszłości, z domu ojcowskiego udał się wprost do Buska i trafił tam w chwili, kiedy starosta powrócił był właśnie ze Lwowa.

Nie mógł trafić fatalniej.

Starosta nie poznał go zrazu. Gdy mu jednak Prokop nazwisko swoje wymienił, wnet brwi zmarszczył, miał przykre jakieś na języku słowo, lecz się natychmiast zmiarkował i powściągając wybuch gniewu, zapytał:

— Czemże waszmości służyć mogę?...

Prokopowi nie postało w myśli, oświadczać się tym razem Łączyńskiemu o rękę córki jego. Chciał jeno do oświadczyn wstęp zrobić, ojcu się dać poznać i tak się w nadchodzącej wojnie ulokować, ażeby jenerał przed oczami go miał. Oświadczyny odkładał na czas późniejszy. Odpowiedział więc, zmięszany nieco tonem zapytania:

— Pragnąłbym, mości starosto, ulokować się w jednym z regimentów, pozostających pod komendą waszą...

— To być nie może... — odparł starosta i dodał — Dam waszmości liścik do Lubomirskiego, do Rzewuskiego, do księcia Wiśniowieckiego, do...

— Pokornie waszmości dziękuję, mości starosto — odrzekł Łoboda — Ale...

— Gotów jestem zrobić dla waszmości wszystko, coś uratował mi życie, wszystko — przerwał starzec w uniesieniu — ale na to, czego żądasz, nie zgodzę się nigdy...

Młody człowiek spłonął na twarzy, skłonił się w milczeniu, odszedł i do Lwowa się udał, bynajmniej nie w celu porywania Krzysi. Zamiar ten był od niego dalekim, bardzo dalekim, tak dalekim, że nie wiedział o nim, gdy go już dokonał — gdy omdlałą niósł w ramionach i przyniósł do księdza Jacka, do którego wstęp otworzył sobie, dzięki znajomości bliskiej, jaką zabrał był z furtjanem, w czasie poprzedniej swojej w klasztorze bytności. Zrobiło się to niechcący, samo przez się, bez cienia premedytacji. Krzysia sama się mu w ramiona oddała i on, omdlałą — miałże rzucać?... albo też, miał ją do pałacu nieść?... Nie wiemy, jakby się kto inny w wypadku podobnym znalazł. Łoboda wziął kochankę w ramiona, przez mur ją przetransportował i, następstw nie obliczając, ani też o takowych myśląc, do Bernardynów ją zaniósł.

Ksiądz Jacek osłupiał na widok siostrzeńca, z owocem zakazanym w ręku. *Primo impetu* porwał się do ogórków. Wnet atoli zmiarkował się. Strzeliły mu w myśli konsekwencje. Ujrzał w perspektywie — »historje»!... Zamiast więc z ogórków użytek odpowiedni zrobić, drzwi zamknął i do siostrzeńca się zwracając, surowo przemówił:

— Błaźnie!...

— Starościanka buska, wujaszku... — podchwycił Prokop, na łóżku Krzysię składając...

— Cóż więc z tego!... Cóż zamyślasz?...

— Zemdlała... Ocucić ją potrzeba...

— A potem?...

— Potem?... — zapytał Łoboda, zwracając na wuja oczy.

— Nie możesz wyjść z klasztoru inaczej, jak małżonkiem starościanki... Bierz z nią ślub, bo inaczej... do przeora idę...

— I owszem, wujaszku!... — była młodego człowieka odpowiedź.

Ksiądz tedy wnet zajął się przygotowaniami do ślubu; na jednego z dwóch świadków wezwał furtjana i pobłogosławił młodą parę, która wyszedłszy z kościoła, znalazła się w położeniu znanem czytelnikowi z rozdziału poprzedniego. Prokop powrócił do czekającej na niego w niepokoju wielkim żony, za rękę ją wziął i do Srula złotnika wprowadził. Młoda kobieta cofnęła się zdumiona.

— Prosimy... prosimy!... — odezwała się Srulowa, biorąc świecę ze stołu. — Niech powiedzianem nie będzie, że ja, żydowica, nie umiem się ludziom za dobrodziejstwo wywdzięczyć... U mnie tu jest izdebka na piętrze... Wielmożna pani będzie tam siedziała spokojnie i bezpiecznie... Prosimy...

I poprzedzając ze świecą młodą parę, szła po schodach, zatrzymała się, drzwi otworzyła i weszła do izby, która pod niejednym względem wiele pozostawiała do życzenia; nadawała się jednak wybornie na schronienie chwilowe.

— Oto tu... — rzekła. — Tu wielmożna pani przebywać może i dzień i dwa... choćby i tydzień cały!...

— Do jutra tylko...— odezwał się Łoboda. — Wynajdę konie... najmę brykę...

— Wielmożnemu panu wydaje się, że to tak łatwo... Toć — tu ręką na panią Łobodzinę ukazała — wielmożna pani tak jechać nie może... Trzeba jej się ogarnąć trochę...

— Ach!... — zawołał Łoboda — jakże zaradzić temu?...

— Pomyślimy... — odrzekła żydówka poważnie. — Może da się to jakoś część rzeczy z pałacu wydostać...

— Z pałacu?...

Phi!... Są sposoby... Niech wielmożny

pan jeno do gospody wraca i nie przychodzi tu, aż wszystko do wyjazdu gotowem będzie... W ten sposób zaginą poszlaki wszelkie, a o to przedewszystkiem chodzi...

Ze słowem tem wyszła, zostawiając młode małżeństwo sam na sam.

Młody człowiek zabawił z żoną chwil kilka zaledwie. Po wyjściu jego młoda kobieta modliła się długo i gorąco, aż wrażeniami znękana, położyła się i twardo zasnęła. Na dzień dobry powitała ją żydówka z czaszą polewki piwnej i z guglem na tacy.

— Jak się spało... ny?...

Pani Łobodzina podziękowała żydówce za troskliwość.

— Ktoś tu na wielmożną panią czeka...

— Prokop!... — zawołała.

— Nie... — odpowiedziała żydówka z miną tajemniczą.

Pani Łobodzina wypatrzyła się na nią wzrokiem, w którym malowały się: i zdziwienie, i zapytanie, i lekki odcień obawy.

— Wielmożnego pana niech się pani nie spodziewa dziś — ciągnęła żydówka. — Nim się furmanka znajdzie, upłynie czasu trochę...

— Któż to na mnie czeka?... — zapytała młoda pani, strwożona nie żartem.

— Żydówka, nic na to nie odpowiedziawszy, otworzyła drzwi i zawołała głośno:

— Proszę!...

Na schodach słyszeć się dał tupot chodu szybkiego, nie męzkiego. Na progu ukazała się Franusia, pani Krystyny panna służąca.

Pani i sługa w objęcia się sobie rzuciły, jakby się nie widziały lat dziesięć przynajmniej.

Interwencja żydówki, skracając wynurzenia wzajemne, sprowadziła konferencją, którą postawiła od razu na gruncie praktycznym, pomimo, że punktem onej wychodnim było postanowienie Franusi jechania z panią choćby na kraj świata. Praktyczność polegała na urządzeniu zręcznem wynoszenia efektów pani Krystyny z pałacu. Trzej wydelegowani *ad hoc* żydkowie znosili przez dzień cały zawiniątka mniejsze i większe, zawierające bieliznę, odzież i niezbędne w porze jesiennej okrycia ciepłe. Franusia nie pokazała się aż wieczorem; nie powróciła już jednak do pałacu. W obecności jej odbyła się wizyta Prokopa. Wszystko do podróży gotowem było.

Nazajutrz, skoro świt, zajechała przed mieszkanie Srula bryka żydowska, parokonna, głęboka, łoziną opleciona i płótnem okryta, zabrała dwie kobiety i potoczyła się po ulicach miejskich, biorąc od razu kierunek ku rogatce, wyprowadzającej na trakt tarnopolski. Pani Krystyna płakała; Franusia ją pocieszała:

Niech się wielmożna pani uspokoi... I... co tam!... Pani ślub wzięła... i któż teraz co przeciwko temu do powiedzenia mieć może?... Pan starosta pogniewa się i przeprosić się w końcu da... trzeba jeno na to czasu trochę... Mój Boże!... mój mocny Boże!... czy to takie na świecie dzieją się rzeczy, tylko że o nich świat nie wie?... Pani masz, Bogu dzięki, męża, który się za panią zastawi... Proszęż tak nie płakać i nie rozpaczać!...

Pani Krystyna uśmiechnęła się, gdy o jakie ćwierć mili od bramy miejskiej ujrzała jadącego konno z pachołkiem z tyłu rycerza, koszulą drucianą i misiurką okrytego. Był to Prokop. Dla nieposzlaki wyruszył przodem i zmiarkowawszy, że nic nie zagraża, poczekał na drodze na brykę. Pochylił się z konia, zajrzał do środka i pozdrowił młodą żonę:

— Szczęśliwej drogi, mościa dobrodziejko!...

Pani Krystyna odśmiechnęła się mu na pozdrowienie.

— Co też to za zdziwienie będzie ojca mego i matki mojej, gdy mnie z powrotem żonatego powitają!... Dwa razy wracałem do nich z bliznami... trzeci raz wracam z żoną...

Koniec tomu pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

# PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

**z 1863 i 1864 r.**

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA TRZECIA.

## BOSAK I KRZYWDA.

*(Ciąg dalszy.)*

### II.

*Treść: Krzywda i jego oddział — smutny stan takowego — nasze marsze — charakter Krzywdy — wieści — utarczka w Krasocinie — wypadek mój i Lotkina — Markowski i Bosak — wyścigi z dragonami — rozkaz sformowania żandarmerji narodowej — los takowej — moja podróż i widzenie się z Bosakiem — powrót i wypadek w Tarnoskale — uchwycenie mnie przez Moskali pod Jędrzejowem — moja ucieczka — Popowice — złączenie się z Krzywdą.*

Przybywszy do oddziału Krzywdy zostałem radośnie przyjęty od dawnych towarzyszów, którzy mieli mnie już za straconego od bitwy pod Bodzechowem, i ujrzałem nader smutny widok. Garstka siedmdziesięciu ludzi, znędzniałych, obdartych, leżała zagrzebana prawie w śniegu, z natężonym słuchem, uwagą zwróconą na każdy szelest. Mróz był straszny, a połowa ludzi nie miała kożuszków, kilku kozaków dostateczną było siłą do rozpędzenia tych na wpół zmarzłych wojowników, a ciągłe oczekiwanie tej smutnej alternatywy, było jedynem marzeniem i zajęciem tych nędzarzy. Przyjazd mój i powody, które mnie skłoniły do wstąpienia napowrót w zbrojne szeregi, odebrały moim towarzyszom resztę nadziei — przekonali się, że jedynem dla nich schronieniem jest teraz las, jedyną przyszłością śmierć z bronią w ręku lub śmierć z zimna i głodu. Rozejść się było bardzo łatwo, ale gdzie się schronić? nigdzie!

Włóczyliśmy się przez cały miesiąc styczeń i luty, wśród najtęższych mrozów, ciągle ścigani i tropieni z wściekłością — i tylko dokładnej znajomości okolicy, w której każda ścieżka była nam znaną, zawdzięczaliśmy swoje ocalenie. Wymykaliśmy się, będąc nieraz otoczeni ze wszystkich stron, drożkami i wertepami gdzie tylko wilk i lis mógł się przedostać. Po większej części schronieniem naszem były lasy w okolicach Włoszczowy, Secymina i Jędrzejowa; bardzo rzadko udawało nam się przenocować gdzie pod dachem, zwykle bowiem wybieraliśmy odludne i niedostępne miejsca; samotna stodoła gdzieś na pustkowiu, domek, gajowego, zaszyty w posępnę puszczę leśną, były jedyną przystanią, gdzieśmy mogli chociaż chwilowo rozgrzać skrzepłe członki. Dzięki wielkiej troskliwości miejscowych mieszkańców, żywności mieliśmy dostatkiem, którą nam dostawiano zawsze, o ile, oczywiście to było możliwem. Dzięki też baczności tamtejszego obywatelstwa zawdzięczać winniśmy, żeśmy sto razy nie wpadli w łapy moskiewskie; o ruchach nieprzyjaciela byliśmy zawsze uwiadomieni.

Młody nasz dowódzca Napoleon Krzywda, syn miejscowego obywatela, dobrym humorem, sympatyczną osobistością dodawał nam kurażu i otuchy, krzepiąc upadłych, rozweselając smutnych i ciesząc nas nadzieją pomyślnego obrotu naszej sprawy z następującą wiosną. Jak dalece jesteśmy łatwowierni, jak chciwi na najmniejszy błysk nadziei, jak chwytamy każdą nowostkę choćby wcale nawet nie była prawdopodobną, dowodem tego było ogólne prawie przekonanie w końcu lutego 1864 r., że z wiosną rozpocznie się powszechne, silniejsze jak dotąd powstanie, podtrzymane zbrojnem wdaniem się zagranicznych mocarstw; rozchodziły się słuchy o formujących się oddziałach na Litwie, Wołyniu, w Lubelskiem i Galicji, słowem po wszej ziemi polskiej. Zkąd te wieści powstawały — jakie miały źródło — i jakie podstawy? nie wiem, ale że tak było przekonywaliśmy się z nowego zapału znękanych niedawno niepowodzeniami mieszkańców — o niczem nie mówiono, jak tylko o wypowiedzeniu wojny przez Francją, o rychłem oczyszczeniu Polski z wroga. Były to ostatnie błyski zwodniczej illuzji, wyczerpujące do reszty kraj; dzielono się z nami ostatkiem, zastawiano się, wytężano wszelkie siły dla dopomożenia ogólnej sprawie, byle doczekać tej wiosny „brzemiennej nadziejami.“

Że niejeden z nas nie zmarzł w śniegu, lub uciekając przed straszną nędzą, nie oddał się dobrowolnie w ręce moskiewskie, przypisuję to jedynie wyżej przytoczonym, kursującym wieściom; nabraliśmy nawet takiej raptownej odwagi, żeśmy alarmowali Kielce, w celu powiadomienia nieprzyjaciela, że powstanie istnieje, wzmacnia się i odpłaci sowicie za klęski i niepowodzenia przeszłoroczne. Tym wyskokiem rycerskiej odwagi przyśpieszyliśmy swój koniec. Wyprawiono drobne komendy kawaleryjskie z najsurowszym rozkazem użycia wszelkich środków do wytępienia nas — rozpoczęła się po prostu obława. W Krasocinie natknęliśmy się na partją Kozaków i w ten sposób, że obie strony wchodziły do wsi z dwóch przeciwnych jej końców. Cofnęliśmy się jak zwykle a kozacy puścili się za nami w pogoń. Bliskość lasu do którego-śmy się schronili wstrzymała kozacki zapęd. W ucieczce ja, Lotkin i jeszcze jeden towarzysz, puściliśmy się inną drożyną jak cały oddział.

Jadąc tak z pół godziny ujrzeliśmy koniec lasu, ale jakże zostaliśmy nieprzyjemnie zdziwieni, gdy w oddali, może o jakie pół wiorsty, ujrzeliśmy kilkunastu Kozaków jadących wprost na nas. Wrócić się było to samo, co wpaść na wrogów w tyle — skryć się w lesie z prawej lub lewej strony nie zbyt pewne, bo las rzadki, mogą spostrzedz, mogą usłyszeć tentent lub rżenie koni. Słowem koniec nasz zdawał się być nieuniknionym. Z tej ostateczności wybawił nas prawdziwie kozacki koncept Lotkina.

— Panowie — szepnął, dierżyties, róbcie, co ja wam każę a może się uda.

W obec nieuniknionego niebezpieczeństwa, człowiek przez instynkt czysto zachowawczy staje się odważny i ryzykowny — mieliśmy tego przykład na sobie. Kozacy nie widząc nas z poza drzew, podjechali nie dalej jak na 50 kroków, gdy Lotkin szepnął.

— Pany strielat' i krzyczeć głośno: hura!

Trzy strzały padły naraz i głośne hura zabrzmiało potężnem echem po całym lesie. Kozacy sądząc ze śmiałości niezwykłej, że wpadli na tysiące powstańców, kopnęli się nazad co koń wyskoczy, nie oglądając się nawet na nas.

Jednocześnie z nimi i my ruszyliśmy w drugą stronę, bokiem lasu, nie mając ani czasu ani ochoty śledzić za wrażeniami jakie wywarł na nich nasz fortel. Ujechawszy z milę, zatrzymaliśmy się około jakiejś chatki na skraju lasu a gospodarz takowej oświadczył nam, że jesteśmy niedaleko Mieronic. Na zapytanie, czy nie ma we wsi Moskali? zapewnił nas, że nie i że możemy z całem bezpieczeństwem jechać do dworu. W Mieronicach posiliwszy się i nakarmiwszy konie, wyruszyliśmy do Krzepina, gdzie podług zaciągniętych wiadomości miał się znajdować Krzywda. Wyjechaliśmy nocą, nie chcąc po raz drugi próbować napadu z fortelami i nad ranem, prowadzeni przez przewodnika manowcami, przybyliśmy do Krzepina. Tutaj miano nas za straconych — opowiadanie o wspólnej rejteradzie i strachu dwóch armji, było przedmiotem wesołej gawędki, facecji i żartów, które się przeciągnęły do samego rana prawie.

Alarmowanie Kielc było dokonane z rozkazu nowego Naczelnika sił zbrojnych Województwa Krakowskiego, Markowskiego, który obecnie nie występował czynnie, lecz pod rozmaitemi przebraniami ukrywał się to tu, to ówdzie, kontrolując działania podwładnych mu dowódzców małych oddziałków i wydając rozkazy, które zwykle były niewykonywane z przyczyn niemożebnych i niezależnych od nich.

Jednocześnie z nim w okolicach Opatowa i Sandomierza, ukrywał się jenerał Bosak — lecz jaka była jego rola, dla czego mianowicie siedział w kraju ogołoconym już prawie z powstańców, nie mając komu rozkazywać — dla czego mogąc wyjść za granicę, jak to uczynił w miesiąc później, narażał się na codzienne, na dziesięciokrotne pochwycenie, tego wytłumaczyć sobie nie umiałem — przyczyny pobudzające go do tej opornej awanturniczości, zostały dla mnie po dzień dzisiejszy zagadką i sądzę, że pewien punkt honoru nakazywał mu pozostać w kraju dokąd jeden powstaniec był zbrojny i tym sposobem chciał zapewne wytrwać i wykonać plany i zamiary z góry wytknięte, choćby zamiary te miał przypłacić życiem. Ludzie z szlachetnemi ideami, z prawdziwem pojęciem o honorze muszą być uparci i raz obranej i wytkniętej drogi nie odstąpią, choćby takowa pełną była przepaści, gotowych ich pochłonąć na każdym kroku. Do rzędu takich ludzi, dziwaków jakby ktoś powiedział, widocznie należał nasz jenerał.

W kilka dni po wypadkach wyżej opisanych, natknęliśmy się w marszu na pikietę dragonówi po wspólnej wymianie strzałów, ruszyliśmy jak zwykle z kopyta w przeciwną stronę. Pamiętam było to jakoś w początkach marca, słońce przypiekało i nastały roztopy i szalone błota, zmykaliśmy po grząskiej ziemi, konie zapadały się po kolana i całe nasze szczęście, że konie moskiewskich dragonów, rosłe, tłuste, tembardziej grzęzły — to nas ocaliło. Wyglądaliśmy jak djabły, omaczani literalnie błotem. Po tych wyścigach skryliśmy się w lesie w Chyczy i tu dwa dni przebyliśmy spokojnie; tutaj Krzywda odebrał rozkaz od Bosaka i Markowskiego, aby sformował z dziesięciu ludzi oddział pieszy, tak nazwanej żandarmerji wieszającej, z oddaniem takowej w rozporządzenie Władz cywilnych. Nikt nie miał z początku ochoty, ale w końcu znalazło się ośmiu ludzi, szło teraz o zwierzchnika. Krzywda obrócił się do mnie, proponując przyjęcie obowiązków oficera żandarmerji, naturalnie, że propozycję tę, jako nie posiadający kwalifikacji na oprawcę, odrzuciłem z oburzeniem, ale znalazł się jakiś warszawianin, który się podjął tego, i przebrawszy się w dostawione w tym celu ubranie cywilne, uzbrojeni tylko w rewolwery, wyruszyli zaraz z obozu. W tydzień coś potem dowiadujemy się, że pana oficera wraz z trzema towarzyszami jego złapali w Popowicach około Jędrzejowa, a przekonawszy się ze znalezionych poleceń i nominacyjnego patentu, że to są żandarmi wieszający, w miejcu złapania, w godzinę potem, stosownie do instrukcji, powiesili. Honor ten oczywiście, gdybym się był zgodził być dowódzcą, byłby spotkał mnie. Biedacy ci, nie wykonali jeszcze ani jednego wyroku, ale chęć starczyła za uczynek, i to w oczach moskiewskich naturalnie było winą.

W połowie marca, utrzymywaliśmy się już jedynie cudem boskim, po wszystkich bowiem miasteczkach, głównych traktach, nawet wsiach niektórych, stały drobne komendy wojskowe. Szlachcic jadący do sąsiada o milę drogi, mógł być pewnym, że w drodze parę razy spotka się z Moskwą, patrole kozackie i dragońskie snuły się nieustannie, a na dobitkę lud wiejski, dotychczas nam przychylny, widząc naszą sprawę tak źle stojącą i ponosząc często szkody z przyczyny powstańców tak materjalne jak i fizyczne, Moskale bowiem sypali baty i zabierali mu słomę, siano i chudobę, patrzał teraz na nas nieprzyjaźnie i ponuro, jako na sprawców złej doli, a niekiedy i denuncjował ukrywających się niedobitków. Przy takich okolicznościach, rachowaliśmy dnie i godziny, w których albo nas wybiją do nogi, albo ani się spostrzeżemy, jak wpadniemy żywcem w jaką matnię i wywieszają nas koleją. Nakoniec pewnego dnia, po ciągłych ucieczkach, Krzywda zrozpaczony swojem położeniem, oświadcza, że dalej egzystować niepodobna, że więc potrzeba o tem donieść Bosakowi i prosić o instrukcją co czynić nadal. W tem tylko pytanie, kto pojedzie z tem doniesieniem o 20 mil drogi, aż pod Sandomierz, gdzie Bosak miał się znajdować. Ten nie zna drogi, tego znów zbyt znają w okolicy, ów rzuca kwestję, czy Bosak jest w kraju, może wyjechał oddawna za granicę, słowem nikt nie miał odwagi puszczać się w drogę, najeżoną istotnemi niebezpieczeństwami. Słysząc te odpowiedzi i kombinując sobie, że właściwie nic nie ryzykuję, gdy pojadę, bo złapać zawsze złapią, a czy mnie pochwycą z bronią w ręku, czy bez, to już wszystko jedno, oświadczyłem, że pojadę. Czy potrafię przebyć 20 mil kraju bez paszportu, w kraju gdzie każda niemal ścieżka jest strzeżona, tego nie zaręczam, ale będę próbował.

Tej samej więc jeszcze nocy, bez żadnej odezwy a jedynie z ustnem poleceniem, zostawiwszy broń i konia i przebrawszy się po cywilnemu, ruszyłem w drogę. Nie myślałem wtenczas, że zsiadłem z konia po raz ostatni, że tej szabli, którą dźwigałem 14 miesięcy, nie przypaszę więcej już do boku i że towarzyszom wojskowej doli, ostatni raz uścisnąłem rękę.

Przemykając się manowcami od dworu do dworu, to końmi, to piechotą, przebrany raz za parobka, to za lokaja, przejechałem 20 mil, nie spotkawszy ani razu Moskali. W końcu dobiłem się do jakiejś wioseczki, gdzie wedle zebranych przezemnie w drodze wiadomości, miał się ukrywać Bosak. Nie mając żadnych legitymacji, szlachcic któremu zameldowałem się i wyłożyłem powód mego przybycia, zmierzył mię oczami podejrzliwie i oświadczył, że on nie wie zupełnie gdzie Bosak może się znajdować, a zatem zadość uczynić mej prośbie nie może. Miarkując atoli z niechętnej jego odpowiedzi, badawczych spojrzeń i jakiegoś rodzaju niespokojności, byłem prawie pewny, że szlachcic wie o pobycie Bosaka, lecz z obawy zdrady, co i po części było słusznem, nie chce nic powiedzieć. Zaczynam przeto ponownie opowiadać mu cały opłakany stan rzeczy, rozpacz kilkudziesięciu ludzi, cytować nazwiska obywateli, którzy mi wskazali obecne miejsce pobytu jenerała, a w końcu wręcz mu powiadam, że jedynie obawa co do rzetelności i uczciwości mych zamiarów, niedozwala mu zaufać człowiekowi nieznanemu.

Nie wiem która z powyżej przytoczonych przyczyn wpłynęła na ostrożnego szlachcica korzystnie i przychylnie dla mego interesu, czy wreszcie w fizjognomji mojej dopatrzył się wyrazu szczerości i prawdy, dość, że zatrzymując mnie, oświadczył, że pojedzie dowiedzieć się o miejscu pobytu Bosaka, a w godzinę później wrócił z Markowskim, który mnie poznał od razu i kazał siadać z sobą na bryczkę. Przybyliśmy na jakąś polankę leśną, gdzie stał jeden domek gajowego i parę zabudowań gospodarskich. Miejscowości tej przypomnieć sobie nie mogłem, żebym ją kiedy widział, widocznie we włóczęgach naszych nigdy tu nie byliśmy. Było to niedaleko Sandomierza. Weszliśmy do chaty, zastałem Bosaka w czarnej czamarze, podszytej lisami, wysokich lakierowanych butach, siedzącego nad papierami. Od czasu gdym go ostatni raz widział pod Strojnowem, spostrzegłem w jego rysach ogromną zmianę, wprawdzie miał jak dawniej dumną postawę, zimne i sztywne obejście, ale bladość i pewna nabrzękłość twarzy, zamglony wzrok i jakaś ociężałość, widocznie zdradzały w nim walkę i niepokój moralny, nurtujący go na wskróś.

Objaśniłem mu powód mojego przybycia, skreśliłem obraz wierny położenia garstki ludzi ściganych jak dzikie zwierzęta, prosząc o instrukcją, co mamy czynić nadal.

— Więc utrzymujesz pan, że jest niemożebnem dłużej wam się utrzymać, a ja tu właśnie otrzymałem zawiadomienie Rządu Narodowego, że w innych stronach kraju, powsta-

nie wzmacnia się z każdym dniem. Najtrudniejsza była zima, przebyliśmy ją.

— Pozwoli sobie pan jenerał powiedzieć, że dotychczasową naszą egzystencję zawdzięczamy ostatniemu wysiłkowi miejscowego obywatelstwa, ale dziś, ze względu właśnie na nich, nie powinniśmy właśnie przedłużać powstania, obecnie są zniszczeni, a nawet przypuściwszy, że nam się uda potrwać jaki miesiąc jeszcze, to ich doprowadzimy do ruiny ostatecznej, bez żadnego notabene pożytku dla sprawy narodowej, dziś bowiem za każdego powstańca złapanego czy to z bronią czy bez, w domu obywatelskim, gospodarz podlega kontrybucji, zatem nie interes osobisty przezemnie przemawia, bo dla nas powstańców czy tak, czy siak, to wszystko jedno, zawsze nas pochwycą.

—Tak, to jest racja—odrzekł Bosak—jeżeli oczywiście tak jest, jak pan mówisz. Ale powstanie wzmacnia się, nie dozwoli z czasem na zniszczenie kraju, będzie go mogło bronić.

— To kwestja, panie jenerale, czy wzmacnia się? czy nas ogólnie nie łudzą, czy w Lubelskiem nie opowiadają o naszem powstaniu tego, co u nas o Lubelskiem lub Litwie, a jeżeli tam podobnie się rozwija jak u nas, to do czegoż doprowadzi!

Zamyślił się Bosak, a po chwili rzekł:

— Tak może być istotnie jak pan mówisz, robiliśmy, cośmy mogli i ile było w naszej mocy. Nie chcę i nie powinienem ludzi poświęcać fikcyjnym marzeniom, niczem nie zagwarantowanym i bez prawdopodobnych podstaw, nie chcę, aby mi robiono kiedyś wyrzut, żem kraj niszczył bez potrzeby, nie mając ani cienia nadziei. Rozejdźcie się panowie i radźcie sobie jak możecie.

— Prosiłbym pana jenerała, rozkaz ten dać mi na piśmie.

Napisał krótkie polecenie, przyłożył pieczątkę urzędową i podawszy mi rękę rzekł:

— Żegnam pana i życzę mu wszelkich pomyślności.

Wyszedłszy od Bosaka, udałem się z powrotem do tegoż samego szlachcica, przenocowałem tam, daną mi karteczkę wsunąłem w podeszew u buta i na drugi dzień rano puściłem się z powrotem temi samemi drogami. Peregrynowałem jak przedtem samemi tylko wertepami, ale już nie tak szczęśliwie. W Tarnoskale wjechałem na Moskali, samym wieczorem, na pikietę dragońską. Uciec już nie było sposobu, zaprowadzono mnie do dworu, gdzie znajdował się oficer dowodzący oddziałem. Ratunek mój zawdzięczam tylko przytomności umysłu miejscowego administratora pana N***, który mnie znał, gdym bowiem jechał w tamtą stronę, odsyłał mnie swemi końmi do następnej stacji, wiedział zatem com zacz i po co jadę. Kiedy mnie wprowadzono do pokoju, nie czekając, aż mnie oficer zaczepi, odezwał się:

— Dobrze ci tak, nie trzeba było bałamucić do nocy; a żeby ci też był dragon przylepił parę bizunów — szkoda wielka, że tego nie zrobił!

I odwróciwszy się do oficera dodał:

— To mój pisarz, którego posłałem po odbiór okowity na folwark Malescowy.

Zrozumiałem, jak to mówią, pismo nosem; koncept był niezły, wreszcie nie było w czem wybierać. Zacząłem się tłumaczyć, zwróciwszy się do pana administratora, że takie a takie przyczyny zatrzymały mnie dłużej jak myślałem, kłamiąc oczywiście, co mi ślina do ust przyniosła. Oficer jednakże nie dowierzał, kazał mi się rozebrać i rzeczy moje przetrząść; kiedy mi zdejmowano buty, ciarki mi po skórze przeszły i oblałem się gorącym potem. Nie znaleziono jednak nic i oficer kiwnął głową, że mogę wyjść, ale pan N*** zatrzymał mnie i zaczął mi, w dalszym ciągu przyjętej przez nas roli, dawać dyspozycje, a mianowicie: że o 5tej rano mam z sobą wziąść trzy fornalki, wyjechać na folwark ten a ten i przywieść do Tarnoskały siana. Zrozumiałem, pokłoniłem się i wyszedłem. Dragoni nocowali tutaj. Pierwszy to raz byłem w obozie moskiewskim jako spokojny mieszkaniec; nie wiedzieli poczciwcy, jakiego ptaszka mają pod swoim bokiem.

Zamiast o 5tej, jak to mieć chciała dyspozycja, wyjechałem o 4tej rano. Na pikiecie zatrzymano mię:

— Kto idiot — stoj!

— Za sienom dla was.

— Nu charaszo!

Czmychnąłem dalej.

Tak się skończyła historja Tarnoskalska. Przytomność i odwaga pana N*** w istocie była wielka, ale nieco ryzykowna. Gdyby się bowiem było spodobało panu oficerowi zawołać człowieka, który mnie przywiózł, i zapytać go się, zkąd przyjechaliśmy, naturalnie byłby powiedział, że z Komórek a nie z Malescowy. Niejednozgodność tłumaczenia musiałaby obudzić podejrzenie. Pan N*** oczywiście rachował nieco na swoją impozycją i głupotę Moskala — jakoż wygrał — a butelka stojąca na stole, zapewne niepoślednio wpłynęła na łaskawe usposobienie inkwirenta.

Posuwałem się coraz dalej, z wszelką możebną ostrożnością, aliści na trzeci dzień po wypadku w Tarnoskale, dojeżdżając do Nieznanowic, widzę zdala piechotę ciągnącą się długim szeregiem, a wkrótce kilku kozaków, pędzących cwałem ku mnie.

— Stoj! kuda?

— Do Włoszczowy — odpowiedziałem.

— A paszport imiejesz?

Wstaję, zaczynam macać po kieszeniach, czy nie ma jakiego papieru; wyciągam Gazetę polską. Kozacy byli pijani, pokazuję im:

— Nu charaszo! a kto dał pasport?

— Pan jenerał Czengiery w Kielcach.

— Nu, pan — daj na wodku — a nie, to stupaj z nami.

— Pastojtie — posmotriu — jak mam diengi, to wam dam — a wot imieju diesiatku — natie!

Jeden z nich chwycił za dziesiątkę i kopnęli się jak szatani za oddziałem. Nie dowierzałem sobie, zdawało mi się koniecznie, że wrócą się z powrotem; kazałem więc skręcić na prawo i zamiast do Włoszczowy, puściłem się lasem do jakiegoś folwarku. Obawy moje były płonne — nie wrócili się. Teraz zacząłem wierzyć w moją szczęśliwą gwiazdę: odbyć kilkanaście potyczek i nie być rannym, to jeszcze nic nadzwyczajnego; ale wpaść dwa razy w łapy moskiewskie i wyjść cało. to należy do rzędu szalonego szczęścia. Weselszy, z dobrą otuchą, puściłem się dalej; takem się nawet ozuchwalił, żem w drodze nucił aryjki, wprawdzie bardzo cicho, ale za to każdy ton był wiernie oddany. Po drodze dowiedziałem się, że oddział Krzywdy znajduje się w okolicach Małogoszcza; trzeba się więc było wrócić. Wyjechawszy z Węgleszyna, ledwie przebyłem parę wiorst, widzę. sadzi kilkunastu kozaków wprost na mnie. Uciekać nie było gdzie, jadę umyślnie wolno.

— Stój — kuda?

— W Jędrzejów za pasportom — do naczelnika.

— Nu, charaszo, pojediem wmiestie (razem).

A tom się spisał! pomyślałem sobie — ale nie rozpaczajmy — a moja gwiazda! Było to już nad samym wieczorem. Przez drogę wypytują się mnie:

— A czto, był w bandie?

— Nie, nie był — odpowiadam — ja chory jestem.

— Da, wy wsie nie byli, a jej Bohu ja jewo widieł w bandie.

Niedobrze mi się zrobiło; kto wie, może psiawiara i poznał mnie rzeczywiście — pod Strojnowem, Czarncą, tak długo staliśmy naprzeciwko siebie. Prosiłem ich, aby mi pozwolili jechać naprzód — nie zgodzili się; mianowicie jeden, który utrzymywał, iż mnie widział w bandzie. Odpowiadając im piąte przez dziesiąte na czynione mi pytania i będąc zajęty rozmaitemi kombinacjami, jakby się oswobodzić z ich opieki, dojechałem tak do lasu, około Kanic, ciągle w ich towarzystwie. Ściemniło się zupełnie; las ten znałem doskonale, ciągnął się na kilkumilowej przestrzeni. Jechaliśmy ciągle stępa; kozacy jedni na przedzie, a drudzy w tyle. Snując różne projekta przez drogę, dochodziłem zawsze do tego przekonania, że będzie źle: mianowicie w Jędrzejowie. Myślę sobie: a gdybym zemknął?... Myśl ta uczepiła mnie się zawzięcie; jakoż był to na ten raz jedyny środek. Ciemno było straszliwe, las był gęsty, ucieczka możebna; lepiej zatem zaufać swojej zręczności i dobrym nogom, jak spuszczać się gnuśnie na moją szczęśliwą gwiazdę. Kozacy, jadący z tyłu, zostali może na jakie trzydzieści kroków; wyjąłem więc jedną nogę cichutko, następnie drugą, tak że nawet człowiek powożący mnie nie słyszał, jak stanąłem na stopniu i znalazłem się na ziemi. Rzuciłem się w krzaki; furman mój obejrzał się i stanął, kozacy przyspieszyli kroku, ale wskutek ciemności, nie spostrzegli odrazu mojej nieobecności. Usłyszawszy dopiero chrzęst łamanych pod memi nogami gałęzi, zwrócili się do bryczki i zobaczyli, że jadący po pasport, zemknął. Nie czekając więc długo, w kierunku łamanych gałęzi strzelili dwa razy; kula padła koło mnie w drzewo. Przycupnąłem cichutko około krzaka, bojąc się najlżejszym nawet szelestem zdradzić swoją kryjówkę i usłyszałem przekleństwa kozackie i krzyki mego stangreta, którego okładali batogami, nareszcie ruszyli dalej, zabrawszy z sobą i moją furmankę. W parę minut było jak w grobie, ale obawiając się, czy nie czatują na mnie, siedziałem pod krzakiem ze trzy godziny. Około godziny 9tej wieczorom puściłem się w drogę, chcąc się dobrać do jakiej drożyny. Szedłem tak ze dwie godziny, przedzierając się przez krzaki, gęstwinę, wpadając w rozliczne dziury, topiele, jamy; zaczęły mię siły opuszczać i już decydowałem się położyć się i czekać dnia, ale uszedłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, wydostałem się na jakąś drogę i tą już swobodnie puściłem się dalej. Las się skończył, wyszedłem na pole i po kwadransie drogi ujrzałem jakiś młyn. Przypatrzywszy mu się bliżej, poznałem, że jestem w Popowicach; dowlokłem się do dworu i od tyłu zastukałem do okna.

W owe czasy każdy mieszkaniec sypiał bardzo czujnie, nie było bowiem dnia i nocy, w którejby gospodarz nie był budzony to przez Moskali, to przez powstańców. Gdy poczciwy szlachcic wpuścił mnie i zapalił świecę, aż krzyknął z podziwienia na widok mojej osoby. Przedzierając się przez krzaki podrapałem sobie twarz, a pot zmięszany z błotem i krwią przyschniętą, nadawał mi pozór orangutanga lub dzikiego Irokesa. Tak byłem zmęczony, iż nie rozbierając się, rzuciłem się na sofę i przeleżałem do rana; gdyby mi nawet Moskal zajrzał w oczy, nie byłbym w stanie podnieść się. Około południa zaledwie zdolny byłem do dalszej drogi. Tutaj dowiedziałem się, że Krzywda znajduje się pomiędzy Krzepinem a Kurzelowem; puściłem się dalej i przybyłem do Oksy, gdzie zostawiłem mego konia i broń. Miałem zamiar uzbroić się i tak dojechać do oddziału. Kiedy zaprzątnięty jestem ekwipowaniem się, dają mi znać, że drogą od Dębia ciągnie jakaś kawalerja; za chwilę zobaczyłem, na wielką moją radość, że to Krzywda ze swoją garstką.

(Dokończenie nastąpi.)

# Z KRAINY ZULUSÓW.

W kraju Zulusów, panujący jest jedynym depozytarjuszem narodowej tradycji. Tak chce reguła mądra i przewidująca, której naród zawdzięcza, że uniknął kłótni w kwestjach nauki. I rzeczywiście król mając jedynie sam prawo wykładać ludowi historję panowania swego i panowań poprzedzających, nie ma obawy ażeby zaszczepił w umysły nieufność do istniejacych instytucyj. Rezultat ostateczny, trzeba to przyznać, nie jest jednak tak dobry jakby się spodziewać należało; panowania kończą się zwykle rewolucjami, a król umierający śmiercią naturalną jest w kraju Zulusów wyjątkiem. Cóżby to było pod innym systematem?

Cetewayo, zwyciężony w wojnie przez Anglików, również trzymał się roztropnego systematu, wprowadzonego przez przodków, ażeby oszczędzić narodowi niepotrzebnych wzruszeń i wątpliwości. Sam był wszelkiemi fakultatami umiejętności. W niniejszym artykule przedstawi się on nam jako historyk. Kapitan Ruscombe Pool, jego dozorca na przylądku Cap, potrafił skłonić króla do wygłoszenia prelekcji, która była urzędową za jego panowania, a która obecnie została wraz z rządem radykalnie zmienioną, bo takim jest los wszystkich urzędowych prelekcyj. *Historja narodu Zuluskiego* natychmiast została przełożoną na język angielski, posłaną do Londynu i wydrukowaną w *Macmillan's Magazine*. Pozostawiając na boku opisy wojennych czynów, które stanowią większą część kursu króla Cetewayo, zatrzymamy się jedynie na kilku ustępach dotyczących polityki, której ciernie są jedne i te same pod każdą szerokością jeograficzną.

Sto lat temu, Zulusi byli tylko małem ciemnem pokoleniem, trudniącem się chowem bydła i nieprowadzącem żadnych wojen. Założycielem potęgi Zuluskiej był sławny Chaka, Napoleon Afryki południowej. Wielki ten człowiek, który żył na początku naszego stulecia, stworzył armię regularną, za pomocą której podbił ludy sąsiednie.

Organizacja tej armji była godną uwagi. Chaka posiadał intuicję najnowszych systematów. Zaprowadził wprzód jeszcze nim którykolwiek z rządów europejskich, służbę obowiązkową, rozciągającą się na znaczną część życia ludzkiego, i dopuszczającą tylko nader nieliczne wyjątki: 1. można było być uwolnionym od służby wojskowej z powodu choroby lub kalectwa, 2. Chaka miał do rozstrzygnięcia kwestję seminarzystów i rozstrzygnął ją na ich korzyść. Unikało się konskrypcji zostając czarownikiem.

To ostatnie rozporządzenie pociągnęło za sobą te same nadużycia w kraju Zulusów co i wszędzie. Zostawano czarownikami ażeby nie służyć. Chaka jakkolwiek z niepokojem widział co raz bardziej rosnący wpływ czarowników, jednakże nie pokusił się na pozbawienie ich przywileju. Miał on za szerokie poglądy, ażeby znosić prawo które uważał jako dobre, dla tego jedynie, że oszczędzało klasę, której nie lubił. Wolał uciec się do próby, ażeby odróżnić powołanie prawdziwe od udanego i odstręczyć młodych ludzi od podstępnego dla interesu udawania. Skutek przeszedł wszelkie jego nadzieje.

Pewnej nocy, Chaka, z dwoma zaufanymi, wyszedłszy potajemnie, ponaznaczał krwią wołową dachy wielu chat. Nazajutrz zwołał wszystkich czarowników państwa i rozkazał im dociec, za pomocą czarodziejskich środków, kto to uczynił. Nie było ani jednego, któryby nie podejrzywał w tem czegoś i kogoś nie denuncjował. Dwóch tylko trafiło i wymienili Chakę, przeniknąwszy podstęp; zręczność ich, ocaliła im życie. Co do reszty, przekonani, że złymi byli czarownikami, zostali natychmiast uduszeni. Po takiem oczyszczeniu, kraj był spokojny przez lat wiele, gdyż nikt nie garnął się do rzemiosła, które się stało niebezpiecznem. Kwestja klerykalna obudziła się dopiero po śmierci Chaki, którego następcy, bądź z przekonania, bądź ze słabości, pozwolili klasie czarowników na nowo odrodzić się z popiołów. Odtąd kraj Zulusów znów został zaniepokojony i Cetewayo, po wstąpieniu na tron, znalazł się bezbronnym przeciw tej powodzi, gdyż poseł angielski, przybyły na koronację, wziął czarowników pod swoją protekcję i zabronił skazywać ich na śmierć. W ogóle Wielka Brytanja zanadto nagle dąży do zmiany praw, za pomocą których Chaka założył i wzmocnił swoje państwo. W jak kłopotliwe np. położenie wprowadzili Anglicy swoją armję podczas ostatniej wojny, spiesząc się zanadto z reformą prawa o małżeństwie, które uznali za uciążliwe. Nie bez interesu będzie ten szczegół, który czerpiemy z korespondencji prywatnej i dotąd nieogłoszonej.

Wielki Chaka nie obawiał się kłopotu żenienia i wydawania za mąż wszystkich swoich poddanych. Przeprowadzał rzecz systematycznie i w ogóle nie była to tak zła gospodarka, gdyby nie to, że musiał działać nieco za hurtownie.

Ażeby dojść do celu, zadekretował konskrypcję młodych dziewcząt. Tworzono z nich pułki, tak jak z chłopców, i od czasu do czasu król posyłał rozkaz ożenienia takiego a takiego pułku mężczyzn, z takim a takim pułkiem kobiet. Zdarzało się tu i owdzie skarg kilka, lecz nie więcej jak w krajach, gdzie małżeństwa są interesem tak skomplikowanym. Przytaczają jedyny tylko przypadek zrewoltowania się młodych dziewcząt, które odmówiły za panowania Cetewaya posłuszeństwa edyktowi królewskiemu, wykazując niedostateczność liczebną mężczyzn w pułku dla nich przeznaczonym. Cetewayo uznał ich rację i dał im pułk inny. Reklamowały jeszcze; wtedy je kazał zmasakrować, z obawy, ażeby ich przykład nie zachęcił kobiety do niesubordynacji. W Afryce południowej są to lekkie wstrząśnienia, nad któremi nie warto się zatrzymywać. W ogóle systemat, zaprowadzony przez Chakę, funkcjonował dobrze, albowiem społeczność Zuluska kwitnęła i powiększała się, pomimo bezustannych wojen.

Anglikom zdawało się cudownem, gdy zwyciężali, ogłosić wolność małżeńskich związków. W owej chwili armja ich odbywała jeszcze kampanją i ciągnęła za sobą gromady krajowców, używanych jako tragarze i służba. W nocy po ogłoszeniu nowego prawa o małżeństwie, wszyscy krajowcy zdezerterowali. Każdy obawiał się, że nie znajdzie dla siebie, opóźniwszy się, dziewczyny i rozpierzchło się to jak chmura wróbli.

Wykład Cetewaya, wzięty w ogóle, nie zdradza u autora obfitości szerszych poglądów. Nie można wszakże odmówić temu książęciu, który musiał walczyć z temi samemi zadaniami, o jakie się rozbijają wszyscy pasterze ludów, posiadania jednego przymiotu nieocenionego u rządzących: miał zasadę w rządzeniu. Wierząc mu, było to tradycją u panujących nad Zulusami, których cała polityka streszczała się w dwóch punktach: mieć prawa ustalone i stosować je najsurowiej. Lecz czy mu wierzyć można? Jego królewska mość czarna, jak powiadają, nieraz zbaczał od swego systematu wybornych rządów, nad którym się rozwodzi w swoich prelekcjach.

Jego królewska mość jest nadzwyczajnie przebiegły i strzeże się, ażeby nie urazić swoich dozorców. Korespondent, od którego zapożyczamy te szczegóły, uderzony został uwagą, z jaką Cetewayo śledzi na twarzach audytorjum wrażenia, wywołane swemi słowami, a następnie zręcznością, z jaką wpada z białego na czarne, gdy wrażenia te są dlań nieprzychylne. Gdy go zapytywano o jaki zwyczaj — z punktu widzenia europejskiego — barbarzyński, nigdy nie wpadł w sidła: zawsze przodkowie jego mieli to brzydkie przyzwyczajenie, nigdy on; protestując z miną skruszoną, miał w zmrużeniu ócz coś komicznego. Biedny człowiek prowadził rzemiosło królewskie: był komedjantem. Niech jaki książę biały, który zawsze prawdę mówił, rzuci na niego kamieniem.

# Z INTERMEZZO.

Pytałem echa, kto wlał pieśń w mą duszę,
Której wyśpiewać nie mogę, choć muszę,
Pieśń wciąż dźwięczącą jak struna trącona?
I echo zdala zawołało: «Ona!

Pytałem echa tracąc ją na wieki,
Czy długo jeszcze w przyszłości dalekiej
Trwać będą chwile smutne i najłzawsze?
I echo zdala zawołało: «Zawsze!»

Pytałem echa czem jest ów chwilowy
W sercu zamarłem brzask miłości nowej,
Witany bladym, sceptycznym uśmiechem?
I echo zdala zawołało: «...Echem!»

* * *

Słuchaj dzieweczko, szybko płyną lata,
Młodzi młodości nie cenią,
A czas swawolny szpetne figle płata,
Wiośnie zagraża jesienią.

Jesienią, dziewczę, wśród zmarszczek na twarzy
Powiędną róże, posrebrzą się włosy,
I będziem siwi oboje i starzy
Jak dwa dośpiałe, pochylone kłosy...

I patrząc na nas nikt już nie da wiary,
Że przed oczami ma kochanków dwoje,
Że w tkliwych słowach ten Romeo stary
Opiewał wdzięki i powaby twoje.

* * *

Pamiętasz? — dnia tego o zmierzchu
W salonie nie było nikogo,
Tyś grała preludjum Szopena...
Ach! wszyscy preludja grać mogą.

Lecz nikt mnie tej chwili nie wróci,
Tej chwilki jak jasny sen krótkiej,
Gdy z pierwszym naszym uściskiem
Preludja urwały się zwrótki...

Wiesz czemu na twarzy mej dzisiaj
Łzę cichą znienacka ujrzano? —
O zmierzchu mój sąsiad za ścianą
Dziś zagrał preludjum Szopena.

*Czesław.*

---

# JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

*(Ciąg dalszy.)*

Jesteśmy w Kijowie. Począwszy od godziny 10-tej zrana w Chateau des Fleurs dźwięczał bezustanku wesoły śmiech dzieci, a pomiędzy niemi i naszej dzieweczki. Wszyscy ją znali i kochali. Oto już idzie dziewczynka z pieskiem! wołano postrzegłszy. Bywało skoro mnie ujrzy w ogrodzie, zaraz leci do mnie ile sił starczy. Tato, tato, mnie Cukiejek pomajańcie dal (a trzeba wiedzieć, że ten Cukierek jakeśmy żartem Sacharowa przezwali, miał przeszło sążeń wzrostu, a w barkach pięć ćwierci łokcia *), mnie, tato, Hinet jagódek dal« i t. d.

Czas, a z nim życie, niepostrzeżenie leciało. Miała już lat przeszło trzy... Na stoliczku jej znalazły się książeczki z obrazkami. *Kuchenka* była kompletnie zapomnianą. Pisała i rysowała jakieś niestworzone wykrętasy. Co dzieweczka pisze? Ach tato, jak ty piszesz, ja ci nie przeszkadzam; nie przeszkadzaj i ty! Racja; cóż na to powiedzieć?...

*) «Sachar» z łacińskiego Rosjanie nazywają cukier.

Wracając do Odesy, nie miałem już tak dużo do liczenia: Leneczka, Niunieczku, niańka, karł karłycz i tylko. Kanarek i druga wiewiórka, nie mniej łzami zroszone, poszły za pierwszą. Rodzina nasza poczęła się coś szybko zmniejszać...

W najgorętszy czas, bo przed zapustami, zachorowałem mocno: Straciłem głos kompletnie. Wypalali lapisem, pulweryzowali kwasami i taniną. Żaden z kolegów kochanych mnie nie odwiedził. Wszyscy odbiegli, jak od trupa... Powiadano mi później, że na tysiąc wiorst donoszono o mnie: »Samsonow, kaput; jedno mu tylko pozostaje, szpital.«

Niunieczka moja i książki, oto jedyne były rozrywki. Zabroniono mi było palić. Dzieweczka tedy skręci, bywało z kawałeczka papieru nibyto papierosa, i daje mi:

— Tato, papijos. Dobrze, dobrze, dziękuję — mówię głosem zaledwie dosłyszanym, udaję, że niczego się nie domyślam i biorę.

Oczęta dzieweczki śmieją się figlarnie... Ja, jakby nic, poczynam nibyto ciągnąć. Raptem podnoszę się z krzesła, papieros o ziemię, i wołam zdziwiony:

— A to co takiego, co to za papieros!...

Dzieweczka ucieka wesoło stukając koreczkami bucików, uszczęśliwiona, iż udało się jej mię oszukać; dźwięczny jej śmiech rozlega się po wszystkich pokojach, a ja za nią...

Przez całe siedm tygodni nie wychodziłem z domu. Nareszcie odzyskałem głos. Wszedłem w korespondencję z Kijowem (teatr miejski), układając się na lato; otrzymałem był nawet wezwanie, bym zebrał trupę, a jeśli się uda, to choćby na cały wielki post. Zgodziłem się, piszę i otrzymuję odpowiedź, że już nie trzeba, dziękują mi ślicznie. *Ktoś* mię podszedł, i ubiegł.

Żyliśmy dobrze, nie spodziewając się podobnego zawodu. A co gorsza, że okoliczności tak się złożyły, iż antreprener nasz nie mógł aktorom wszystkiego wypłacić. Co tu począć? Co począć dalej? Kijów tą razą prześliznął mi się pomiędzy palcami. Na nadchodzące lato zostałem bez miejsca.

W szóstym tygodniu postu 1877 roku, wyszedłem po raz pierwszy z domu, i naturalnie, że najpierw do teatru zajrzałem. Dawano przedstawienie. Koledzy rzucili się ku mnie z zapałem, przyjęli mię z rozwartemi ramionami. Leonie Mikołajewiczu, wy to?!... Czy tylko oczy nie mylą!... I głos wam się wrócił?

— Odzyskałem z łaski Boga; i jeszcze pomówimy. Cóżeście porabiali przez ten cały czas? zwróciłem się do kilku razem stojących kolegów.

— Leonie Mikołajewiczu, giniemy! — zawołał z nich jeden. Jesteśmy tak, że już chyba tylko w łeb sobie palnąć! Owa! a tyle pierścionków na palcach. Ale cóż to znaczy; chociażbyśmy sprzedali je lub zastawili, czy na długo wystarczy?... Jakie głupie dwieście lub trzysta rubli i nic więcej. Czy to pomoże?!... Słyszałem, że wybieracie się do Kiszyniewa; tam teraz wojska mnóstwo, sztab, intendentura... Dla czego nie telegrafujecie do Iwana Now?...

— Czyż nie wiecie, że on nie przystanie na propozycje nasze; skończyliśmy z nim zupełnie; ani nam już teraz gadać z nim... Trzeba wam wiedzieć, że poczynił był już ogłoszenia nawet, a my go oszukali!

— To tak rzeczy stoją!... i dla czegoście go oszukali? — Jak nam zaczęto prawić, że tu więcej weźmiemy, tak i zerwaliśmy z nim kontrakt. Ale jakie tam więcej!... Ojcze, matko rodzona, wy zatelegrafujcie! On wam zawierzy! A jakbyśmy doskonale czas przepędzili!

Poczęli i inni prosić i błagać: Pisz, telegrafuj; dasz nam wszystkim kawałek chleba; pomyślno tylko!... Pomyślałem chwilkę, i wysłałem telegram do Iwana Now...

»Jutro przybędę osobiście dla ułożenia się z panem«, przyszła odpowiedź.

Zakomunikowałem ją kolegom. Wszyscy odrazu zrobili się tacy dobrzy, ale to tacy dobrzy, że choć do rany przyłóż. Nawet wódeczką poczęstowali; a wieczorem zeszli się do mnie w odwiedziny.

Iwan Now... przyjechał rzeczywiście. Znalazł mnie w foaje; skończyliśmy w kilku słowach w obec całego grona aktorów. Lwie Mikołajewiczu, powiada, pamiętaj, że ja tylko panu wierzę. Jeżeli trzeba nieco monety dla ruszenia z miejsca, to ja wam dam. Sto rubli dam... Ale pamiętajcie tylko Lwie Mikołajewiczu, że tylko na waszą odpowiedzialność...

Wieczorem, znów wszyscy u mnie. Ugodziliśmy kto jaką ma pobierać pensję. Słodycz mowy niezrównana, rajska. Iwan Now... tejże jeszcze nocy poleciał z powrotem do Kiszyniewa.

W kilka dni potem znów: »Leneczka, Niunieczka, niańka, karł karłycz i ja!« Począłem już i siebie liczyć, ażeby się zdawało, że nas więcej i nie było tak smutno. Nie minęła mię jednak burza, gdyśmy stanęli na miejscu. Leneczka, która już i przedtem wcale była niezadowolona z projektu jechania do Kiszyniewa, teraz gdyśmy na miejscu stanęli, poczęła jeszcze silniej napadać. Ale tylko zastanów się moja duszko! Przechód wojska; idzie tego mnóstwo na wojnę, perswaduję jak mogę...—Właśnie, że tylko przechód. Czyż im teraz w głowie wasz teatr! Sto razy lepiej było pozostać w Odesie. Zarobiłbyś tam najmniej 200 na miesiąc, a tu i czterdziestu nie dostaniesz!...

Co tam dowodzić mam babie!... pomyślałem w duchu, i machnąłem ręką.

Zdarzało mi się nieraz uważać, jak się burza zbliża. Na pozór nie należałoby się żadnej zmiany spodziewać; niebo jasne, w powietrzu cisza... Raptem poczyna się niepojęta jakaś trwoga w całej naturze; ptak w klatce niepokoi się bez wszelkiej widomej przyczyny; kwiaty poczynają smętnieć i tulić kielichy; liście drzew drżą bez powiewu... Nawet poczciwa kura, jaki już ptak lichy! a i ta gdacze inaczej. Wtem powiało chłodem; ptactwo szybko prze-

rzyna powietrze i to koniecznie nie inaczej, jak zawsze z góry na dół... Na widnokręgu pokazała się chmurka barwy miedzianej; coraz rośnie i rośnie, daleka błyskawica błysnęła i znikła... Wszystko ucichło, jedne tylko liście drżą. Patrząc na nie, rzekłbyś, iż proszą, ażeby je uchronić od nadciągającego nieszczęścia!... W tem grzmot zahuczał po niebie, burza!...

Od czasu przybycia do Kiszyniewa, nie wiem dla czego, ale byłem okropnie zdenerwowanym. Najmniejsze stuknięcie przestraszało mię mocno; spałem mało, jadłem jeszcze mniej. A z resztą cóż było jeść w tym Kiszyniewie? kaszkawał i kaszkawał i nic więcej... Podczas repetycji ciągle mi się zdawało to, że Niunieczka spadła ze schodów, to że Leneczce gorzej, lub że Karł Karłycza ktoś otruł pigułką na szczury...

Dość było trzeciego przedstawienia, ażeby się przekonać, że spekulacja nasza w łeb wzięła i że »baba« miała rację. To przeglądy; to jakieś spotykania nowych pułków nadciągających; a jeśli się i zdarzył odpoczynek dla wojska, to każdy oficer wolał myśleć o łaźni i butach nowych, nie zaś o jakichś tam rozrywkach. Ulice roją się od tłumu, a teatr nasz wciąż świeci pustkami...

Wieczorem 23. kwietnia 1877 roku, poszedłem z kolegami do zwykłej naszej skromnej knajpy niewielkiej. Miasto było iluminowane, oczekiwano przybycia cara...

Zrujnowaliśmy się po sześć kopiejek każdy na kieliszek wódki, wypiliśmy i poszli patrzeć na ulicę, co się dzieje w mieście. Był już późny wieczór, noc ciemna i pochmurna, drobny deszcz gęsto padał i gasił lampki ustawione wzdłuż trotoarów, tłumy zaległy wolne miejsca wzdłuż domów; wtem około narożnego domu gdzie była apteka, buchnął różnokolorowy ogień bengalski, i wnet dał się słyszeć w oddali silny tentent prędkich stu koni. Jedzie! jedzie! — krzyknięto z stron wszystkich — był to car.

Siedział w odkrytym powozie. Sto koni straży przybocznej otaczało powóz pędząc wyciągniętym kłusem, jak szeroka ulica; każdy żołnierz z dobytą szablą w jednej, a strzelbą na pogotowiu w drugiej ręce — papachy *) na uszy nasunięte, burki i końce białych baszłyków powiewają z wiatrem, szczęk pochew i ostróg, chrapanie koni zdyszanych i powóz przemknął jak błyskawica. Jakim cudem żaden z nich karku nie skręcił, pędząc tak w noc ciemną po ulicach nierównych, z niezegularnie po bokach wystawionemi słupkami trotoarowemi — tego dotychczas pojąć nie mogę. W miarę posuwania się powozu carskiego, buchały co raz to nowe ognie bengalskie krasząc na tle nocy krwawym odblaskiem śniade lica jeźdzców, szable ich i lufy strzelb nabitych. Tak, krwawym, krew była widoczna — lud patrzał w milczeniu...

*) Rodzaj czapki kształtu czerkiewskiego; dno sukienne, czarne lub kolorowe z srebrnemi galonkami na krzyż, a w około gęste białe lub czarne futro baranie o długim włosie, spadającym na uszy.

Nazajutrz d. 24. kwietnia o ósmej godzinie zrana odczytany został w cerkwi katedralnej manifest o wypowiedzeniu wojny, a o godzinie dziesiątej dnia tegoż w przytomności cara tenże sam manifest ogłoszono przed wojskiem zebranem w polu za miastem. Nie potrzebuję mówić o tłumach ludu, który tam popędził i o setkach powozów...

I ja chciałem tam być, ale nie sposób; za najlichszą brudną jednokonkę żydowską trzeba było zapłacić pejsatemu woźnicy, nie mniej jak pięć rubli za jakie dwie godzin, nie więcej.

Naoczni świadkowie opowiadali mi potem o następującym fakcie. Gdy po odczytaniu manifestu, rozpoczęło się nabożeństwo przed ołtarzem polowym, i całe wojsko wraz z monarchą odkrywszy głowy padło na kolana, to ani jeden z mnóstwa będących tam Mołdowianów i żydów nie zdjął czapki i ani się poruszył. Patrzyli ciekawie jak na jakie widowisko i więcej nic.

Na ceremonję odczytania manifestu przed wojskiem na błoniu, patrzałem przez binokl z krużganku teatralnego. Dość dobrze mogłem widzieć. Widziałem jak po skończonem nabożeństwie część wojska wprost z placu ruszyła w pochód nad Dunaj. Czarne kolumny jedna za drugą płynęły bez przerwy; rzekłbyś że to jaka rzeka czarna, usypana żarem iskrzących się bagnetów...

Gdym tak patrzał, usłyszałem raptem tentent w pobliżu. Oglądnąłem się i widzę, jak mimo gmachu teatralnego, gdzie stałem, przeleciał co koń wyskoczy jakiś jeździec z gołą piersią, ni to cygan ni to Mołdowianin. W minutę potem przeleciał w ślad za nim drugi takiż sam jeździec. Nie wiem dla czego, ale wnet szepnęło mi coś w duchu: *szpiegi*...

Dokąd i po co tak pilnie lecieli ci jeźdźcy na spienionych koniach, nie żałując wcale, choćby padł który?... Od chwili przybycia mojego do Kiszyniewa, zaraz byłem uderzony postępowaniem wielu bardzo mieszkańców miejscowych, i to nie tylko Mołdawianów i żydów. W całem ich ich obejściu z żołnierzami naszymi, widocznem było usposobienie wrogie, którego nawet nie starano się ukryć. Tegoż samego dnia jeszcze, miałem nowy dowód. Po odczytaniu manifestu jedna część wojska pomaszerowała, jak to już powiedziałem, wprost z placu nad Dunaj, inna zaś, wróciwszy do miasta, poczęła rozchodzić się oddziałami na kwatery. Ja, Leneczka, Niunia i Karł Karłycz usiedliśmy sobie w oknie i patrzyliśmy się na nich. Pod oknem stanęło odpocząć ośmiu żołnierzy i poczęli ocierać z kurzu twarze czarne jak ziemia.

— Mamo, mamo, zołniezyki!... — wołała Niunia radośnie.

— Nie zaszkodzi bracia, trochę nam teraz pokurzyć — rzekł jeden z żołnierzy do swoich, i przysiadłszy na słupku trotuarowym, wyjął z za cholewy jakiś kawałek zmiętoszonej bibułki i wsypał doń szczyptę bakunu. — Bracia, to ostatni nasz papieros. Kto z was ma zapałkę?

Okazało się, że żaden nie miał.

Żołnierz się zadumał i nie wiedział co począć. Wtem wychylił się na ulicę gospodarz dzmu; żołnierz do niego:

— Pozwólcie, panie, prosić was o jedną zapałkę.

— Cóż to, czy ja to dla *was* kupował, czy co takiego!... — odparł opryskliwie gospodarz i szparko zwrócił się do sieni.

— Przepraszam, przepraszam... — uniewinniał się żołnierz zdetonowany.

Wnet garść papierosów, pudeleczko zapałek i dwadzieścia kopiejek srebrem zawinięte w papier, przeleciały po nad moją głową i upadły u stóp żołnierza.

— Oto macie, bracia, zapałki! — zawołała Helena Rodjonowna.

Natychmiast wszyscy wyciągnęli się jak struna i jakby jakiemu oficerowi złożyli jej ukłon wojskowy.

— Zaraz widać, że to nasza pani, Rosjanka! A ty, panie gospodarzu, ech... Dziękujemy pani, pięknie dziękujemy. Niech Bóg da zdrowie!...

A gospodarz był nie kto inny — jak tylko *Rusin!*

Około godziny drugiej po południu, żołnierze rozbili kilka szynków. Nie byli wcale pijani (?), bynajmniej! I jak mogli być pijani, gdy nawet nie mieli za co kupić zapałek? To tak mścili się tylko za poranne postępowanie pewnej części mieszkańców Kiszyniewa.

A tymczasem źle z teatrem, bardzo źle, a z nami jeszcze gorzej. Jużem był nawet zastawił nie jedno. Nie było najmniejszej nadziei, ażebym mógł kiedy wykupić zastawione rzeczy. Ale co tam te rzeczy; Bóg z niemi!... Ale co jeść?... Przez cały czas zarobiłem zaledwie 32 rubli! Od kilku już dni nie było za co kupić mleka dla Niuni.

— Tatu, a gdzie mleko? — pyta bywało zrana, a tak serce pęka... Zbyliśmy żydom nieco sukien; Leneczka swoje, »w sekrecie« przedemną, a ja znów moje, »w sekrecie« przed nią. A płacili bardzo dobrze. Za nowiutki naprzykład garnitur tużurkowy, który kosztował mnie 60. rubli i który zaledwie dwa razy miałem na sobie, dali $5\frac{1}{2}$. Z przedstawień żaden z nas nic nie miał. Jeżeli człowiek bywało przyniesie 50 kopiejek do domu, to już bardzo szczęśliw... A przecież miałem nibyto pobierać miesięcznie 400 rubli! Wypadało pomyśleć o tańszem pomieszkaniu; pomyślałem i znalazłem tańsze.

W dniu przeprowadzania się do nowego mieszkania, zdarzyło sie »dziecińoften«.

Okno było otwarte, przyleciała jaskółka i usiadła w oknie.

— Mamo, mamo, patrz, ptaszek przyleciał!...

Leneczka, jakby ją kto wapnem pociągnął!

— Śmierć, śmierć!... — krzyknęła, blada jak płótno, drżącą ręką wskazując siedzącą jaskółkę, a oczy jej słupem stanęły.

— Co za dziecińczęsto! Jak można coś podobnego myśleć?

— Smierć!... — powtórzyła prawie nieprzytomna.

— Ależ zmiłuj się, cóż to za jakieś głupie zabobony babskie — zawołałem gniewnie, tłumiąc w sobie pomimowolne wrażenie.

Nie mogła się uspokoić; nareszcie opuściło ją drżenie, lecz mówi:

— A czyż nie sam mi opowiadałeś, że gdy matka i ojciec twój mieli umrzeć, to wlatywały do pokoju jaskółki? Powiadają, że w mieście tyfus się pojawił; ktoś z nas umrze, umrze z pewnością...

A koledzy moi w najgorszym humorze. Szepczą między sobą po kątach: »Zły repertoar; trzeba byłoby dać to a to, byłoby lepiej!« Wszyscy prawie skwaszeni, zgryzieni, smutni, kłócą się między sobą i wymyślają na innych, a nareszcie udecydowali rozłączyć się. Iwan Now... wyjechał do Mikołajewa (nie odebrawszy 100 rubli, danych za mojem poręczeniem), Wasiljew poleciał do Charkowa, a inni co pozostali, po staremu nie przestają gryźć się między sobą, a na mnie narzekać. »To on nas tu sprowadził!... — Gdybym pozostał w Odesie, sto razy miałbym więcej, grywając w amatorskich teatrach!...— A mnie do Mikołajewa angażowali, ale trzeba nieszczęścia, żem się zgodził na *jego* propozycje... — A mnie znów!... — Ale co tam ciebie! ot mnie naprzykład, to jeszcze lepiej»... itd.

Pójdę bywało do ogrodu publicznego, usiądę gdzie na ustroniu i myślę: Za co mnie podobna wdzięczność spotyka?! — ale nigdy nic nowego wymyślić nie mogłem; rezultat był zawsze jeden i ten sam, a mianowicie: »nie wiedzą, co mówią». W Kijowie na Padole jest wodotrysk: Samson rozdziera paszczę lwu, a z paszczy lwa tryska woda wysoko. Pod tym wodotryskiem co roku można widzieć mnóstwo pielgrzymów odpoczywających, co to przychodzą do ławry Pieczerskiej. Pewnego razu zdarzył się następujący wypadek: Jakaś stara baba, pielgrzymka, podszedłszy do wodotrysku z dzbanuszkiem na wodę, przeżegnała się trzy razy, pocałowała lwa w łapę i modli się: »Swięty Lwie, wstaw się za mną do Pana Boga». Jest to fakt autentyczny. Czyż to samo nie dzieje się i pomiędzy nami? Nie wiedzą co mówią... i koniec.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## LISTY T. T. JEŻA.

Odgłosy — Przenosiny we Francji — Droga pochodu — Teka ministerjum oświaty — Szatanizm pana Ferry — Powód uciech w Belgji — Słabość a potęga — Przeszłość Belgji — Choroba chroniczna — Powody do niepokojów — Kwestja socjalna — Emigracja do Ameryki ze Szwajcarji — Cecha odmienna — Kwestja kolonizacji.

Chwila obecna dla pisującego listy z Zachodu jest momentem roztargnień ustawicznych. Do wiadomości jego — a i do uszów nawet dochodzi przedewszystkiem nie co innego, jeno odgłos uczt, zabaw, wystąpień, przeglądów, kongresów. Francja, Belgja, Szwajcarja rozbrzmiewają muzykami, śpiewami okrzykami, przemowami, w których rok rocznie powtarza się jedno i toż samo, z wyjątkiem chyba pretekstu bywającego nowym niekiedy. W roku bieżącym Szwajcarji nie przytrafiło się nowego nic. Ale za to Francji, Belgji... Pierwsza z uroczystością niezwykłą obchodziła — przenosiny swoje. Przeprowadziła się ostatecznie do mieszkania nowego, wyporządzonego należycie, zaopatrzonego dostatnio i urządzonego w sposób, odpowiadający potrzebom gospodarskim. Uciecha była ogromna! Do podniesienia jej przyczyniły się potężnie wybory departamentalne, które wykazały jasno dążność narodu, polegającą na trzymaniu się dróg legalnych i wyczekiwaniu na takowych wszelkich reform i ulepszeń, jakie się potrzebnemi okażą. Francja nie chce eksperymentów rewolucyjnych, nie potrzebuje takowych, znajdując się w możności domagania się i dopięcia wszystkiego na drodze rozwoju spokojnego, albo raczej, na drodze rewolucji powolnej na momenty rozłożonej, a szukającej punktów oparcia w doświadczeniu, którego się nie nabywa od razu. Ną tę weszła drogę i nią, jak się zdaje, kroczyć nadal zamierza. Słucha wrzawy, usiłującej zepchnąć ją z takowej, lecz wrzawę oną mimo uszów puszcza i gromadzi materyały do przeobrażeń, których rozwój wymagać może. Śród materjałów tych na uwagę i na zaznaczenie szczególne zasługuje troskliwość o szerzenie oświaty. Teka ministra oświaty synekurą nie jest. P. Juliusz Ferry ma pracy ogrom i, przyznać należy, wywiązuje się z zadania swego z zupełnem pojmowaniem doniosłości onego. To też we Francji całej nie masz człowieka, któryby bardziej od niego wystawiony był na obelgi. Stał się on zmorą dla jezuitów. Zawzięli się przeciwko niemu. Ze wszystkich bateryj swoich strzelają do niego co rana i co wieczór; podają go za szatana, z piekła rodem: żeby jednak szatanizm jego ocenić należycie, potrzeba jeno przeczytać mowę, jaką wygłosił, otwierając rozdawnictwo nagród na konkursie generalnym. W mowie tej przedstawił program reform, dokonanych już w zakresie oświaty. Francja w lat kilka posunęła się naprzód dalej, aniżeli się posuwała dawniej w przeciągu łat dziesiątków kilka. Programowi temu dałoby się może zarzucić nie jedno; możnaby mu, np., wytknąć brak spójni pomiędzy szkołą elementarną a szkołą średnią — druga nie jest w odniesieniu do pierwszej ciągiem dalszym; bądź co bądź jednak, rzecz tak jest ułożoną, że Francuz każdy, najbogatszy i najuboższy, odbyć musi chrzest wiedzy. Korzyść ogromna!

I jakże się Francja cieszyć nie ma!...

A Belgja! Ona także uciechą rozbrzmiewa i ma zaprawdę czego. Udało się jej w spokoju spędzić lat pięćdziesiąt. Dokoła niej burze szalały — ocierały się o nią: ona zażywała spokoju półwiekowego niczem nie zamąconego. Udało się jej to na podziw. Położenie geograficzne na sztych ją wystawia; położenie jej militarne oskomę w potężnych sąsiadach budzi. Nie zaczepiono jej jednak. Pozostawała przez lat tyle pod zaklęciem, niby zamek zaczarowany; słaba — a potężna! nie sama przez się, ale przez to, że losy wsunęły ją w sąsiedztwo czuwającego nad nią anioła stróża. Jak żółw na jaja, tak patrzy na nią Anglia z po za morza — patrzy i powstrzymuje zapędy sąsiadów poczciwych, mających szacunek wielki dla ciężkiej John Bulla pięści.

Dziwne się nie raz układają narodów losy. Przypomnijmy sobie jeno przeszłość Belgji. W ciągu wieków była ona tokowiskiem bojowym — teatrem wojen ustawicznych a zaciętych, do których, zdawało się, tak się już była wciągnęła, tak przywykła, że sama nieraz powód dawała, porywając się „z motyką na słońce,“ jak naprzykład, za czasów Filipa II. Ludność jej odznaczała się burzliwością temperamentu i oporem, jaki stawiała zaprowadzicielom porządku. Taki nawet książę Alba rozumu jej nie nauczył. Zachciewało się jej regularnie częstoś nie tego, co dostawała z ręki opatrzności; knowania i bunty znamionowały stan chorobliwości chronicznej, która jednak zamanifestowawszy się po raz ostatni lat pięćdziesiąt temu, ustała nagle. Od momentu onego Belgja, owa Belgja niepoprawna i okiełznać się niedająca, stała się wzorem porządku. Zadowolniona jest i spokojna, pomimo, że obecnie nie brak w niej powodów do niepokoju, tkwiących mianowicie w kwestji socjalnej, znajdującej się w natężeniu większem, aniżeli gdzieindziej.

Wielkie bogactwa wytworzyły nędzę ogromną, domagającą się środków zaradczych. Nędza ta rzuca cień posępny na jasny obraz pomyślności kraju; usunięcie onej zależy od porozumienia sie pomiędzy tymi, co mają do zbytku, a tymi, co nic nie mają. Spodziewać się należy, że porozumienie to nastąpi i że w roku 1930 zgrzyt głodu nie będzie wtórował okrzykom radosnym obchodu stulecia niepodległości Belgji Dziś wtóruje, niestety — i dla tego nie godzi się jeszcze winszować Belgji pomyślności zupełnej.

Kraju tego szczęśliwym nazwać nie można, w którym obok setek bogaczów przebywają tysiące, zagrożone codziennie ewentualnością śmierci głodowej. Pod względem tym Belgja ciekawą jest do studjowania. Chcąc zrozumieć należycie kwestją społeczną i ocenić sposoby rozwiązywania onej, podawane przez reformatorów ognistych, potrzeba przypatrzeć się belgijskim fabrykom i kopalniom węgla. Teorje tworzyć łatwo, przy pomocy fantazji; lecz od teorji do praktyki — jakże daleko!... jak bardzo daleko!

Belgja przeto nie spożytkowała odpowiednio spokoju pięćdziesiecioletniego, zażywanego pod ochrończem skrzydłem Anglji — nie stanęła, jako wzór wszechstronny. Czy obwiniać ją o to?

Pozostawiam zapytanie to bez odpowiedzi i przechodzę do przedmiotu, interesującego i nas trochę, a mianowicie emigracji do Ameryki ze Szwajcarji. W tem też tkwi kwestja socjalna, która nas bezpośrednio dotyka, ze względu na kontyngensy coroczne, dostawiane Ameryce z Poznańskiego i Galicji. Szwajcarja w dostawianiu kontyngensów owych, nie jest najpośledniejszą. Jest jednak do zauważenia osobliwość jedna, nadająca emigracji szwajcarskiej cechę odmienną nieco. Podczas kiedy zewsząd inąd ludzie, doznający braku chleba, opuszczają ogniska rodzinne i wychodzą z krzyżykiem na drogę, wychodźtwo szwajcarskie nie jest narażone na zrywanie stosunków z krajem. W Nowym Świecie czuwa nad niemi opieka oficjalna i nieoficjalna. Pierwszą znajdują u konsulów; drugą skuteczniejszą i ważniejszą, w stowarzyszeniach, pozawiązywanych w Szwajcarji i rozporządzających funduszami, gromadzonemi drogą składek dobrowolnych. Stowarzyszenia te przychodzą z pomocą tym, którym los nie dopisuje; za pośredników służą im stowarzyszenia z wychodźców dawniejszych złożone, pozawiązywane w główniejszych miastach amerykańskich. W sposób ten nie zrywa się czu-

*

cie emigrantów do ojczyzny, a następstwa czucia tego w ten wyrażają się sposób, że znaczna ilość wychodźców powraca do kraju z majątkiem, wnosi dostatek i umierając, przekazuje testamentem quantum pewne na zakłady publiczne, szkoły, szpitale, przytuliska i t. p. Niedawno temu — w przeszłym miesiącu — odbyło się w Bernie zgromadzenie stowarzyszeń, mających za zadanie opiekę nad emigracją.

Powodem zwołania zgromadzenia było zmniejszenie się produkcji industrjalnej, pociągające za sobą obniżenie płacy robotnikom i wywołujące wzmożenie się wychodźtwa. W przewidywaniu ewentualności tej obmyśleć należy zawczasu sposoby podawania pomocy tym, coby się w potrzebie znaleść mogli.

Stowarzyszenie zajmowało się kwestją tą; obok niej zaś inną jeszcze, mającą znaczenie swoje, a to: jak wychodźcy szwajcarscy w Ameryce postawić się mają — czy jako osobistości pojedyńcze, poszukujące kawałka chleba, czyli też jako koloniści? Kwestja ta oparła się o izby federalne i te, jakem słyszał, odmówiły popierania kolonizacji, czyniąc uwagę słuszną, że ani Stany Zjednoczone, ani żadna z rzeczpospolitych europejskich nie ścierpiałyby u siebie państwa w państwie.

Rzecz ta atoli rozstrzygniętą nie została. Izby odmówiły poparcia oficjalnego, które nie przesądza zgoła starań i układów na drodze prywatnej. Rzeczypospolite amerykańskie nie zcierpią państwa w państwie; lecz nie zmuszają nikogo do zostawania obywatelem kraju i nikomu nie odmawiają opieki praw krajowych. Wychodźctwo przeto szwajcarskie mogłoby się trzymać razem, zakładać kolonje, nie tracić charakteru poddaństwa pierwotnego i pozostawać w takiej od Szwajcarji zależności, w jakiej pozostają obywatele jej w każdym kraju obcym. Przez to wzmocniłby się ten węzeł, jaki ich do ojczyzny przywiązuje, a na tem i oniby zyskali i Szwajcarja nie straciła. Sprawę tę zdaje mi się — na uwadze mieć warto: do dyskusji nad kwestją emigracji wprowadza ona żywioł nowy, pokazujący ją ze strony na zastanowienie zasługującej.

---

## WSPOMNIENIA LEKARZA
## z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

*(Ciąg dalszy.)*

### VI.

*W Pera. Tany. Baromert wojny. Spisek na Mahmuda. Popłoch jaki zajęcie Plewny wywołało. Armja Sulejmana baszy. Nie pewna sytuacja. Moskale nadchodzą. Siedm działowych wystrzałów. Teskere.*

W Pera, w towarzystwie kilku emigrantów spędzałem przyjemne chwile. Przebywał tam między innymi i Berwiński. Z pooranem czołem, srebrzystą brodą, niegdyś słynny jako mówca i poeta, dziś opuszczony, w nędzy, zapadł fizycznie i moralnie. Wiedziony rozpaczą, oddawał się napojom, aby zatrzeć pamięć o srogim losie. Zgromadzaliśmy się w niemieckiej kawiarni, zarazem restauracji. Przypominam sobie raz, jak się drzwi otworzyły i weszła zgrabna panienka z ojcem. Była to córka właściciela domu, nadobna piętnastoletnia Liza, „której wdzięk uroczy zwrócił na siebie wędrownika oczy.“ Rozweselała mi wieczory w tych przykrych czasach, a władzę miała nademną tak potężną, że nie mogłem rozmawiać bez jej pozwolenia z mężczyzną, a broń boże z istotą niewieściego rodu, choćby koleżanką. Gdy pierwszy raz przywdziała do ceremonji bierzmowania długą suknię z fałdzistą powłoką, nie mało było uciechy i krzyku.

Rozrywek wiele nie przedstawiało miasto. Prócz teatru, gdzie dawano sztuki w narodowym języku, były jedynie Caffés chantants na wzór paryskich, w połączeniu z grą w ruletę. Spiewaczki były skromne pod względem śpiewu, mniej w ruchach, gdyż tutaj ściśle się nie bierze takich rzeczy. Nieźle się można było zabawić „pantominami“. W »*dszezerli*« (zbójcach) przedstawiano turecko-arabskie tany, jakie wyprawiają po haremach i które zachwycały mnie elastycznemi ruchami i gestami pełnemi wdzięku.

Na rozkaz i życzenie władcy haremu, w orjentalnym kostjumie strojna odaliska wystąpiła przed kapelą na scenie i skłoniwszy się gościom, których przywitała uśmiechem ust ponętnych, ujęła rozpuszczone włosy lewą ręką, a prawą zręcznie wzniosła w górę. Ozwały się bębenki i zabrzęczały dzwonki. Dziewczyna zawróciła oczy w słup w jedną stronę, to znowu je rozwarła obrzucając ogniem, tupnęła, uderzyła w dłonie, wstrząsnęła głową, a podczas gdy inne tanecznice przyklaskiwały w ręce podług taktu, wyprężyła się i wzdęła wypukłą pierś jak łabędź, w łuk giętki a szybkiem poruszeniem ramion biła jak skrzydłami. To skręcała sztucznie na bok w lewo lub w prawo, to znowu zginała się jak wąż złożony z kroci zwojów, czasami zatrzymała się i najeżyła ramiona i znowu lekką stopą dawała misterne kroki podług wesołego tempa. Gdy tak przodowała przed nami w pląsach, inne niewolnice ścigały lekko jej ślady prędkiemi ruchami.

Policja chodziła po tingl-tanglach i szpiegowała po restauracjach, czy wojskowi nie piją zakazanej mastyki. Gdy przy niej siedziało dwóch Anglików, zostającvch w służbie tureckiej w randze pułkowników, że nie przestrzegali praw koranu, wyprowadzono ich do biura. Po niejakim czasie wrócili przebrani po cywilnemu.

Usposobienie mieszkańców stosowało się do barometru wojennego, podług niego było raz więcej raz mniej przytłumione. Stan oblężenia nie ścieśniał granic wolności. Nakaz, ażeby wieczorną porą nie wychodzić bez zapalonej latarki, nie był zbyt uciążliwym do przestrzegania. Niezwykły ruch panował wszędzie. Pułki rozmaitych wojsk przychodziły dniem i nocą, potem wymusztrowane i świeżo uniformowane maszerowały dalej. Seraskierat był zapełniony żołnierzami i różnemi osobistościami. Tutaj odbywały się ustawiczne konferencje a wojnę prowadzono przy zielonym stole, wydając rozkazy nieraz wręcz przeciwne. Majestatycznie przesuwały się przez wody Złotego Rogu i Bosforu kolosy okrętów, których pokłady czerwieniły się od najeżonych fezów, a belity od worków żywności i skrzyń amunicji i dwu piątrowe pancerniki, z których przez luki wyglądały działa. Depesze z pola bitwy omawiał lud z zajęciem po kawiarniach, zostawiając pierwszeństwo głosu *softom i imanom.* Ciekawe nowiny, drukowane telegramy rozsprzedawali *hamaty,* biegający z pospiechem i wrzaskiem po głównych ulicach. Kilkunastu jeńców rosyjskich umieszczono w koszarach Selima. Liczba chorych i rannych dochodziła do kilku tysięcy. Wśród tych znaków wojennych zaniepokoiły mieszkańców stolicy w pierwszym tygodniu listopada bielejące kartki po *mozzeach* i rogach ulic, aby koniecznie pozbawić życia Mahmuda Damata, który jest przyczyną klęsk Turcji, a bronić nadal jej niezależności. Wyszły one z ramienia partji antirosyjskiej a odwetem były za odezwy, jakie kilka dni przedtem rozpowszechniało pokojowe stronnictwo Mahmuda za pomocą rozwieszanych plakatów. Rozpoczęte knowania na korzyść Murada, skończyły się na wspomnionych objawach niezadowolenia i aresztowaniach, gdyż rosyjski stronnik, chytry Mahmud Damat, zasłoniwszy się wybiegiem, iż spiskowcy nie jego, lecz szwagra, t. j. sułtana, chcą zgładzić, kazał wszystkich, na których tylko padał cień podejrzenia, uwięzić w Konstantynopolu.

Po zażegnaniu tej burzy zdradliwą ciszę przerwał upadek Plewny, pamiętnego dnia dziesiątego grudnia. Był to smutny dzień zimowy. Śnieżne chmury zawisły ponuro nad stolicą padiszacha. Przenikliwy wiatr przeciągał po ulicach.

Zziębnięte ptactwo ukrywało się na gzymsach u szczytów moszei. Śnieg padał w wielkich białych płatach, jakby chciał ulgę przynieść rannym, ale zaraz topniał, a taka atmosfera zimna i wilgotna była dotkliwszą od mrozu. Plewna zajęta! Te dwa słowa rozdmuchały żar w stan gorączkowy, którego symptomatami były przestrach, febra, (top sitma), szał, halucynacje a najgłówniejszym wychodźtwo, które w sposób epidemiczny ogarnęło mieszkańców. Wszystko co żyło, uciekało przed Moskalem. Wsie i miasta opróżniały się, a mieszkańcy chronili się do Konstantynopola. Pociągi towarowe liczące po kilkadziesiąt ciężarowych wozów, były przepełniane rzeczami i ludźmi. Każdy ratował swoje mienie jak mógł a resztę zostawiał nieprzyjacielowi. Rzeczy zajmowały dolną połowę wagonów, a na nich leżeli, siedzieli i stali w największym nieładzie ludzie, mężczyźni, dzieci, kobiety z niemowlętami na ręku, jedni na drugich, jak śledzie w beczkach. Część uciekała wśród bułgarskich mrozów w otwartych wagonach; szczęśliwsi w zamkniętych, a tychże dachy były znowu pokryte ofiarami. Kobiety wdzierały się wbrew prawom Koranu do budki konduktora, prosząc o przytułek. Między tak zwanymi buframi kładziono deski i dyle z pod szyn, których biedacy trzymali się kurczowo ażeby nie wypaść. Wybijali okna w wagonach, by się do nich dostać, i chwytali się jak tonący brzytwy, czegokolwiek zewnątrz tychże, byle się uczepić, a później skostniali, paść na ziemię. Droga kolei była zasianą zwłokami nieszczęśliwych. Taki pociąg przywoził po kilka tysięcy osób a przychodził jeden za drugim. Wychodźcy ładowali zaprzężone wołami wozy, a zajechawszy na dworzec, pakowali żony, dzieci i rzeczy, do przemocą zdobytych wagonów, polecając wszystko opatrzności. Kolej, chcąc nie chcąc, musiała przypinać lokomotywy i wywozić całe wsie i okolice pod dozorem jednego tylko konduktora, maszynisty i palacza dla braku kolejowej służby. Rząd przyobiecał zwrot kosztów. Na kolejach panował ogromny rozruch. Urzędnicy pouciekali ze stacyj. Telegrafy były popsute

i dochodziły tylko do pewnych miejscowości. Zwożono wciąż emigrantów. Trwało to dotąd, dokąd ruch nie został zupełnie zatamowany.

Nowy krzyk rozlegał się przy wyładowywaniu nieszczęśliwych. Wysiadały rozmaite postacie z bronią w ręku. Byłem w towarzystwie korespondenta wiedeńskiego „Extrablattu“ i „Neue fliegende Blätter“ austrjackiego kapitana inżynierji, M. Na zapytanie, czy daleko zostaje *mo skow*, usłyszeliśmy, że synowie *scheitana* (czarta) są oddaleni tylko na kilka godzin drogi od Adrjanopola, a może są już i w Adrjanopolu i że każdej chwili możemy się ich spodziewać. Bardzo wiele osób dostawało gorączki, inaczej też być nie mogło, skoro wśród mrozów byli pozbawieni jedzenia i napoju i zmuszeni ogrzewać się jedynie ciepłem własnego organizmu. Przystawiano drabiny do wozów, znoszono na barkach chore niewiasty i składano na nosze; potem dźwigano innych ciężko słabych. Każda rodzina rozpościerała przed wagonami kobierce i kołdry i z przekleństwem na ustach rzucała bose, nagie, ledwo w koszulki odziane dzieci w poduszki. Obok beczały ocalone jagnięta i baranki. Rozniecono zaraz ognie, rozdano ciepłą zupę, ratowano nieszczęśliwych, jak było można. Lecz wkrótce rozlegały się krzyki, by miejsce uprzątnąć, gdyż świst lokomotywy oznajmiał, iż nowe pociągi się zbliżały. Obładowano zatem muły i osły rzeczami, a emigrantów zabrano jednych na wozy, drugich o lepszych nogach pieszo i porozkwaterowano po konakach, wszystkich moszeach i wielu prywatnych zabudowaniach. Szczególniej wieczorem przy świetle pochodni i roznieconych ogni, powstawał straszny obraz nędzy i rozpaczy, obraz cywilizacji XIX wieku, który nasycał okropnościami.

Dowóz nieszczęśliwych trwał kilka dni i liczba ich doszła do dwukroć stu tysięcy.

W drugiej połowie grudnia przybyła północno-wschodnia bułgarska armja Sulejmana baszy do Konstantynopola, gdzie obudziła przykre wrażenie i ogólne współczucie. Ponieważ kolej od Razgradu do Warny została z powodu zasp śnieżnych przerwana, musiało wojsko odbyć tę drogę piechotą, wśród niepogody i dokuczliwego zimna, za nim wsiadło w Warnie na okręta. Na żołnierzach znać było niestarte ślady świeżo przebytej kampanji w Szypce. Po pas zabłoceni i pod ciężarem wojny pochyleni, maszerowali przez Pera przy odgłosie muzyki i kaszlu. Twarze ich poczerniały od wiatru, powietrza i prochu. Mundury były wypłowiałe, podarte i łatane różną zbieraniną skrawków. Dziurawe *cziżmy* wisiały u tornistrów, a druga para nie o wiele lepsza okrywała nogi. Ubranie oficerów splamione i uszkodzone jak żołnierzy, przedstawiało zaledwo cień uniformów. W Konstantynopolu wzmocnieni dziesięcioma bataljonami odjechali koleją jak najprędzej do Adrjanopola.

Gdy nieprzyjaciel zdążając jak huragan zajął Adrjanopol bez oporu, który miał być stawiony, najbliższe wypadki groziły teraz niebezpieczeństwem w samej stolicy. Miałżeby on i ją zagarnąć? Wszystko na to wskazywało! Samo przypuszczenie budziło obawę o przyszłość i rozdrażnienie ogarnęło wszystkie umysły. Zaczęto mówić o rozwinięciu zielonej chorągwi proroka. Mehmet bej i inni fanatyczni lekarze zapewniali nas o powszechnej rzezi chrześcjan, a renegat Alibej, jako emigrant, drżał na samą myśl o Moskalach, gdyż zawsze znajdzie się dosyć takich przyjaciół, którzy zadenuncjują, choćby fałszywie, by tylko bliźniemu zaszkodzić. Wiadomo było, iż Moskale nawet w czasach pokoju porywali znaczniejszych emigrantów nad Bosforem, i w kajdanach odstawiali okrętem do caratu. Powieszono kilku szpiegów, niesnaski i niepokój powiększały się w mieście, nocami wybuchały pożary... Dość, że mieliśmy zawsze straszną rozmaitość. Raz gdy szedłem do szpitala przez most, by się dostać na statek, wisiał jakiś pop na moście powieszony za szpiegostwo, z arkuszem papieru na piersiach, zawierającym wyrok śmierci, a wracając zastawałem ulice zabarykadowane wojskiem. Innym razem szeptano, że odkryto ważny spisek, kompromitujący wiele dostojnych osób, lub że zatopiono tej a tej nocy w Bosforze kilkunastu Turków.

O pokoju nie było słychać. Liczyliśmy do samego ostatka na pomoc, szczególnie Anglii, bo innym mocarstwom nie wiele ufano.

Polska emigracja udała się ze strachu pod opiekę francuskiej i angielskiej ambasady. Kiedy trwoga, to do Boga, żartowano tam z nich sobie wtedy. Słysząc pogłoski o zamordowaniu w Sofii kilku lekarzy Polaków, austrjackich poddanych, napisałem o paszport do kraju i złożyłem go w austrjackiej ambasadzie, ażeby w razie wypadku mogli dać o mnie informacje. Listy do kraju szły co najmniej jedenaście dni. Gdy wśród rozruchów wojennych i pod wpływem ciągłej niepewności nie pisałem przez kilka tygodni — milczenie moje wytłómaczono sobie śmiercią. Pewna dobrego serca osoba ofiarowała kwiaty do kościoła na intencję mego szczęśliwego powrotu. Podobnie znajomi w Wiedniu, z którymi z powodu licznych zajęć nieprowadziłem wcale korespondencji, przeczytawszy w niemieckich dziennikach w liście zamordowanych przez Moskali nazwisko podobne do mojego, uważali mnie za straconego.

W pochodzie na Konstantynopol, nieprzyjaciel zatrzymał się na dwie godzin drogi od miasta, a wśród nas krążyły alarmujące wieści o mającem rozpocząć się tej lub owej nocy bombardowaniu. Turcy korzystając z powolności nieprzyjaciela, ufortyfikowali miasto jak drugą Plewnę i wystawili znaczną armję do obrony. Ponieważ w Stambule w razie ognia istnieje zwyczaj dawania na znak siedmiu armatnich wystrzałów, a pożary są na porządku dziennym, zdarzało mi się często, że zrywałem się wśród nocy zbudzony biciem z dział, gotując się istynktowo do ucieczki.

U stóp mojego mieszkania nad morzem leżało *topchane,* arsenał z amunicją; zsunęlibyśmy się razem do Bosforu, skoro posypałyby się tam żelazne karmelki z bombonierek wrogiego obozu.

Taki stan niepewnej sytuacji trwał kilka tygodni, dokąd trzeciego marca nie zawarto pokoju w San-Stefano.

W owych chwilach niepokoju, postawiono po raz pierwszy straże około bram. Mury miasta, podwójne, z bastjonami co kilka metrów tak szerokie, że jeźdźcy po nich można, otoczone okopem, świadczą o wspaniałej budowie; dziś są one opuszczone, miejscami znacznie zębate i zachowują tu i ówdzie stare napisy na kamiennych płytach w greckim języku. Podanie niesie, iż dwóch młodych braci rozpocząwszy tę budowę z jednego punktu, idąc w przeciwnych kierunkach, zeszli się dopiero w wieku zgrzybiałym, zanim opasali miasto murowanym łańcuchem. W Ballat piętrzą się ruiny letniego pałacu Konstantyna Wielkiego; z których przechowały się w dobrym stanie tylko zewnętrzne ściany, porfirowe słupy, podtrzymujące sklepienia i architektoniczne balkony z marmuru. Przechodziłem zwykle bramą adrjanopolską, na której wisiała olbrzymia kula, jako szczątek starożytnej zbrojowni. Ponieważ nie uwiadomiono mnie o nowem rozporządzeniu, miałem zajście ze strażą, która nie chciała mnie przepuścić, aż dopiero wystawiono mi w szpitalu *teskere* (świadectwo tureckie) wolnego przechodu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Kronika Tygodniowa.

Gęsto i ciasno zaczyna być we Lwowie: Młodzież w towarzystwie mam i ojców gromadą przyciągnęła z wakacji i pełno jej po ulicach, hotelach, dorożkach i zabudowaniach szkolnych. Słyszeliśmy, że tego roku większy jest napływ uczniów niż lat poprzednich, a wszyscy mają dobre miny, choć opalone fizjognomje — ochota zatem do nauki jest, mimo że pan minister cokolwiek lęka się hiperprodukcji inteligencji. W cyrkularzu, rozesłanym w tych dniach Radom szkolnym, radzi, aby młodym gimnazistom wskazywano więcej specjalne rzemieślniczo-techniczne wykształcenie.

I my nie mielibyśmy nic przeciw temu, bo rzeczywiście za wiele już mamy kandydatów na urzędników, na których po większej części ta cała masa uczących się sposobi, jednak mielibyśmy to do zarzucenia panu ministrowi, że takich szkół specjalnych, o których cyrkularz wspomina, u nas dotąd nie ma ani jednej w Galicji, więc byłoby cokolwiek za trudno wysyłać młodzież po taką naukę aż za granicę kraju, co połączone być musi ze znacznemi kosztami, na które niestety pragnący dzieci kształcić w podobnym kierunku, zwykle nie posiadają funduszów. Zapewne, że stan nasz rękodzielniczy gwałtem potrzebuje wzmocnienia nowemi, więcej inteligentnemi siłami, któreby go mogły popchnąć trochę dalej. Nasz rękodzielnik, jakkolwiek jest gorliwy, pilny, uczciwy, a nawet zdolny, jednak brakuje mu wyższego wykształcenia. Dotychczasowa nauka rzemiosł odbywa się u nas starym i odwiecznym sposobem terminowania, do którego werbują się dzieci prawie bez żadnego wykształcenia. Długoletnią wprawą, okupywaną z początku najniższego rzędu usługami dla pana majstra i majstrowej, dochodzi taki uczeń do znajomości swego fachu i zdolny jest produkować to, co widział u majstra, ale też i na tem koniec. Jakiejś inicjatywy nowej, poprawy, udoskonalenia, podniesienia tego wyrobu od niego oczekiwać nie możemy, ztąd też wszystkie nowości sprowadzać musimy z zagranicy, bo nim one u nas wejdą na porządek warstatowy, długo potrzeba czekać. Otóż podniesienie w ten sposób stanu rzemieślniczego, przez pewne wykształcenie ogólne, uważamy bardzo na czasie, a stworzenie specjalnych szkół za konieczne.

Mimo wszelkich utyskiwań naszych rzemieślników na brak zajęcia, los ich jeszcze wielekroć jest korzystniejszym od losu tej gromady

pisarzy, diurnistów, kancelistów i tak zwanych pracowników kantorowych, którzy za kilkanaście reńskich miesięcznie, marnują swoją młodość i zdolności przy biurkach. Proszę porównać ich zarobek z zarobkiem pierwszego lepszego czeladnika, czy ten nie ma pięć lub sześć razy więcej dochodu, choć na wykształcenie jego rodzice prawie nic nie wyłożyli, oddając go dzieckiem do terminu, gdzie już szedł dalej o własnych siłach. Tu zaś przeciwnie: podobnego rodzaju pisarz czy praktykant musiał skończyć przynajmniej gimnazjum, a zatem napracować się lat kilkanaście, i koroną tego wszystkiego zostaje mu dwadzieścia reńskich pensji miesięcznej, i to jeszcze tymczasowej, bez żadnej rękojmi na przyszłość i bez nadziei, żeby doszedł do czegoś lepszego. Nie miał za co ukończyć studjów uniwersyteckich — nie ma więc praw żadnych i do śmierci zostać musi białym murzynem, w surduciku z miną panicza, co go niby stawia w przyzwoitszej pozycji od rzemieślnika. — Tymczasem porządny czeladnik zawsze zostaje majstrem, zakładając małemi siłami swój warstat, i nie ma prawie przykładu, żeby nie doszedł do wygodnego samoistnego bytu, jeżeli tylko prowadzi się porządnie a uczciwie. — Iluż tego rodzaju zacnych, choć z bardzo małem wykształceniem, majstrów mamy we Lwowie, którzy dorobili się stanowiska, majątku i poszanowania w mieście. Czyż przykład ten nie powinien zachęcać innej, tak zwanej lepszej młodzieży, aby zrzuciwszy pychę z serca, dali pokój fanfaronadzie, a wzięli się do igły, dratwy, młota... Praca ręczna rzemieślnika jest dziś wysoko ceniona, daje niezależność w każdem zdarzeniu, a z pewnością wymaga mniej usiłowań, niż owo wykształcenie do zajęć biurowych. Nawet kielner, usługujący w zakładach publicznych, daleko lepiej i prędzej przychodzi do majątku i wygodniej żyje, niż owi kancelaryjni pisarze, najmowani za dzienną płacę. — Szanowni rodzice i kochani młodzieńcy, zastanówcie się nad tem, a zobaczycie, że i wy i kraj daleko większą odniesiecie korzyść z rękodzielniczej pracy waszej, niż z tej niby to honorowej, a grożącej głodem manipulacji piśmiennej. — Trzeba raz mieć rozsądek i stąpać praktyczniej po ziemi...

Miasto się stroi na przybycie Cesarza, rząd słupów, pomalowanych czerwono, posuwa się co dzień z przed pałacu namiestnictwa ku dworcowi kolejowemu, fakelcug już ułożony, a jak słyszeliśmy, setnicy będą mieli gorejące parasole, pomysłu p. Feliksa Piątkowskiego. Na kopcu Unii wybuchać będzie przez dwie godziny ogromny wulkan, a do koła staną beczki ze smołą, w których smarzyć się będą dusze wszystkich wątpiących w powodzenie wielkiej illuminacji.

A propo tej illuminacji i w ogóle gorącego przyjęcia w Galicji monarchy, niektórym pismom niemieckim przyszła ochota palić nam sążniste nauki i obudzać naszą polską ambicję. Idzie im ani mniej ani więcej jak o to, żebyśmy nie marzyli ani o Warszawie, ani o Wilnie, ani nawet o tem, co leży za Podwołoczyskami, tylko o Serajewie, Salonice i wybrzeżu albańskiem nad Adrjatykiem. Gdyby przypadkiem z tego powodu zachciało się naszemu sąsiadowi stawiać jakie przeszkody na półwyspie Bałkańskim, to my powinniśmy naszemi piersiami zasłonić państwo jako prawdziwi i najwierniejsi Austrjacy... Dziwna rzecz, zkąd taka łaskawa dyrektywa dla nas i bez nas...

Że też ci biedni centraliści w żaden sposób nie mogą strawić naszej dzisiejszej sytuacji, a tembardziej życzliwości monarchy, i chcieliby chociażby ponad głową Jego komenderować nami na swój sposób. Otóż prosimy tych panów niech będą spokojni; Polacy nigdy nie pokuszą się o wskazywanie im ich obowiązków. Dzięki Bogu zanadto wiele przecierpieliśmy i zanadto wiele nauczyli, abyśmy nie wiedzieli co mamy robić.

Naturalnie, że wobec skierowania całej uwagi publicznej na przyjazd cesarza, sprawy bieżące, nawet dość ważne dla nas idą w zapomnienie. Chcemy tu mówić o zawiązaniu stowarzyszenia dla usunięcia żebractwa, stowarzyszenia mogącego oddać bardzo ważne usługi społeczeństwu. Statut już jest zatwierdzony przez namiestnictwo, idzie więc o ukonsystowanie się Towarzystwa, aby czynności swoje rozpoczęło. Trzy razy już zwoływano walne zgromadzenie, i za każdym razem nie mogło się zebrać pięćdziesiąt osób potrzebnych do prawomocności uchwał. — Szanowni mieszkańcy Lwowa, jak mamy rozumieć tę waszą obojętność, ten brak poczucia obowiązków obywatelskich i miłości chrześciańskiej. O cóż tu idzie? O przyjście z pomocą prawdziwie biednym, zasługującym na poparcie chwilowe, a uniknięcie wspierania oszustów, którzy przybierając pozę nieszczęśliwych, bezczelnie wyzyskują miłosierdzie publiczne. Sto przykładów moglibyśmy postawić że tak jest, że nałogowi wydrwigrosze pożyczają sobie cudze dzieci i z niemi spacerują po ulicach jako nieszczęśliwi wdowcy. Jest tu jeden taki jegomość, zalewający się rzewnemi łzami, że jego żona w drodze do Lwowa urodziła dziecię w wagonie, i prosi o jakąś kobiecą bieliznę. Już kilka miesięcy zbiera tedy różną starzyznę od litościwych kobiet, a żona jego wciąż przyjeżdża do Lwowa... Otóż żeby raz podobne nadużycia wykorzenić, nowe Towarzystwo podejmuje się sprawdzać tego rodzaju fakta i potrzeby żebraków i nie pozwolić aby prawdziwa nędza ginęła z głodu. Towarzystwo żąda dobrej woli współobywateli i 50 centów miesięcznej składki. Czyż to tak wiele na cel tak szlachetny, a wszak nie może znaleźć w stutysięcznym Lwowie pięćdziesięciu chętnych! Piękne litościwe panie, które wylewacie łzy nad przygodami powieściowych bohaterów, czyż tu nie otwiera się dla was pole działania! Jeżeli na fraszki dogadzające naszej próżności, możemy wydawać setki, to czyż nie wstyd dla nas, jeżeli nie mamy pięćdziesięciu centów na cel tak szlachetny, braterski, obywatelski i patrjotyczny! Dojrzałość narodowa potrzebuje poczucia się do obowiązków, a gdzież to poczucie i przechwałki, że godni jesteśmy być niezależnym narodem? — W słowach, nie w czynie; a tylko czyn jest objawem życia i ma przyszłość przed sobą. — Przykro nam, że musimy w ten sposób nawoływać do obowiązków, lecz niech gwałtowna potrzeba te nasze słowa usprawiedliwi.

* * *

Podczas gdy cała niemal prasa warszawska rozpływa się nad p. Tissotem i obsypuje go wszelkiego rodzaju pochlebstwami, jedno z pism tamtejszych zamieszcza bardzo słuszne uwagi o jego podróży do nas. Pochwalając i ciesząc się z dowodów czci i uznania, jakie spotkały Siemiradzkiego podczas pobytu w Zakopanem, czasopismo to powiada: Naszemu artyście od Wiednia towarzyszył p. Wiktor Tissot, który wybrał się na wycieczkę do Galicji, gdyż pracując dla księgarza paryskiego Dentu, Polskę mu wypadało dać w roku następnym. Pan Tissot znany jest i naszej publiczności jako dowcipny fejletonista - podróżnik, który rozgłosu doszedł pamfletem „Podróż do kraju miljardów“. Prace p. Tissota rzeczywistej, głębszej wartości nie mają, ale czytają się lekko i trafiły w szowinizm francuski, co mu zjednało popularność. Otóż p. Tissot zapoznawszy się we Wiedniu z Siemiradzkim, postanowił mu towarzyszyć w Karpaty i stał się mimowolnie świadkiem przyjęcia, jakie mistrzowi zgotowano. Nic w tem złego, a nawet tyle dobrego, że w krajach rozkwitających cywilizacją, mogą się przekonać, jak umiemy kochać naszych artystów. Również rzeczą słuszną, że przyjmowano p. Tissota z grzecznością, że mu nawet robiono honory, bo tak każe gościnność polska, takt i smak dobry. Ale czego już ów smak dobry zakazywał, to owacyj dla p. Tissota, to uczt na jego cześć wydawanych, to długiego szeregu śmiesznych i niezgrabnych toastów. Wszystko to było w złym guście, tchnęło parafjańsztwem i szkodziło znaczeniu owacji, jaką dla Siemiradzkiego zgotowano.

Pan Tissot przyjechał nas opisywać, nie należałoż na wstępie tak mocno papkować i czapkować. P. Tissot niczem sobie nie zasłużył, aby grono siedmdziesięciu polskich obywateli dawało na cześć jego obiad. P. Tissot nie jest ani europejską, ani żadną znakomitością. Gdy się o tych honorach dowiedzą Francuzi, będą się śmiali, tak jak się śmieją dziś z tego powodu Niemcy. Zaciekłość korespondentów, (nieśmiertelnego *Wieku)* doszła do tego stopnia, iż kazano Siemiradzkiemu robić illustracje do dzieł p. Tissota... uważcie, do dzieł p. Tissota, Siemiradzkiemu! Takie zrozumienie rzeczy i takie pojęcie stanowiska artystycznego naszego mistrza, nawet ze strony banalnych pism warszawskich — boli. To jest czarną stroną owego wypadku, bo tak cudzoziemcy jak i zapatrujący się na rzeczy chłodno, pomyśleć mogą, iż owacje dla Siemiradzkiego są prostą zabawką bez znaczenia, skoro nasze społeczeństwo pierwszego lepszego podobnemi obdarza. A przecież trzeba pragnąć i wierzyć, że tak nie jest...

Z uwagami temi najzupełniej się zgadzamy, a co do przyszłej książki p. Tissota i jego wrażeń z podróży po Galicji, to próbka jaką wkrótce podamy naszym czytelnikom, zbyt wiele nie obiecuje.

---

## PISMIENNICTWO POLSKIE.

«Rzut oka na stosunki geologiczne Galicji wschodniej» skreślił dr. Emil Łucjan Dunikowski, asystent politechniki lwowskiej. Lwów 1880 str. 96 z 3 tablicami rycin.

Rzecz to bardzo a bardzo na czasie. Zewsząd się dają słyszeć głosy: nasz kraj taki bogaty w skarby podziemne... taka obfitość materjału górniczego, a mało kto bierze się do eksploatacji. Powtarzają to dziennikarze drukiem, powtarza za nimi ogół. Z drugiej strony znaj-

dują się ludzie, którzy nasłuchawszy się wiele o bogactwie kopalń w kraju, rzucają się w przedsiębiorstwa górnicze, a nieświadomi stosunków geologicznych, kończą swe przedsiębiorstwa — bankructwem. Zkąd się wzięło przekonanie ogólne, że Galicja obfituje w kopaliny, istotnie nie wiemy. Domyślać się wolno, że bogactwa kopalne kilku mil kwadratowych w okół Krakowa, pozwoliło mniemać ogółowi, że i dalsza część kraju — zatem także Galicja wschodnia obfituje w skarby, których dobyć czy nie chcemy czy nie umiemy. Zewsząd dochodzą także gorzkie żale, że o zbadanie kraju naszego pod względem geologicznym nikt się nie troszczy, nikt kraju nie bada. Mniemanie takie jest błędne. Badanie znajduje się w toku; każdy dzień przynosi nam nowe wiadomości, ale że ludzie tem badaniem zajęci, są skromni, a pracują bez rozgłosu i reklamy, przeto wiadomość o ich pracach nie dochodzi do uszów publiczności. Nawet wiedeński instytut geologiczny działa w tym kierunku bardzo dużo; sam spotykałem wysłanników jego badających Karpaty, zwłaszcza nasz wschodni Beskid, a liczne prace, rozrzucone po zagranicznych pismach fachowych, świadczą, że ruch naukowy, co do badań geologicznych, nie ustaje, ale się wzmaga, i tak obcy jak krajowi uczeni zbierają skrzętnie wiadomości. Im jednak dalej postępują badania, tem bardziej ulatnia się nimbus obfitości kopalnej w naszej Galicji, a staje przed oczami smutna rzeczywistość, że: zwłaszcza Galicja wschodnia w stosunku do innych krajów monarchji jest nader ubogą w kopaliny. Do tych samych rezultatów przychodzi także autor dziełka, o którem mówimy. Przedewszystkiem kreśli on w części pierwszej obraz ogólnego geologicznego ustroju Galicji wschodniej, opisując wyżynę podolską, nizinę galicyjską, równinę podkarpacką i góry karpackie ze stanowiska dziejowego tworzenia się pokładów. Z obrazu tego okazuje się, że na Podolu naszem brakuje najciekawszych i najobfitszych formacyj, bo węglowej, permskiej, triasowej i jurajskiej; że w formacji sylurskiej nie ma śladu law i rozpadlin wybuchowych, w bliskości których zwykły się znajdować mineralne kopaliny. Pokazuje dalej, że nizina galicyjska z pokładami dyluwialnemi, nie zawiera prócz głazów błędnych, żadnych wybitniejszych tworów kopalnych; zaś równina podkarpacka jest stosunkowo najwydatniejszą, gdyż w swej trzeciorzędowej, do starszego miocenu należącej formacji, zawiera pokłady solonośne i dostarcza nam sól kuchenną, sól potasową, naftę, wosk ziemny i wapienie. W Karpatach kanstatuje bytność niższej kredowej i niższej trzeciorzędowej formacji; wykazuje, że w nich nie ma śladu skał wybuchowych, które są macierzą mineralnych kopalin, przyczem zwraca uwagę na sporadyczne pojawienie się ryf wapiennych, do formacji jurajskiej należących. Część druga zajmuje się petrografią Galicji wschodniej, tj. skałami i kopalinami. W niej zastanawia się autor nad sposobami powstawania różnych skał i przechodzi porządkiem wszystkie, w tej części znajdujące się; poczem daje szczegółowy przegląd najważniejszych skał, zwracając uwagę na skład chemiczny i mechaniczny każdej, na jej obfitość, użytek, dotychczasową eksploatację nie szczędząc wskazówek, co, gdzie i jak z korzyścią wydobyć można. Zgadzamy się z autorem, gdy mówi, że badania geologiczne kraju nie postąpiły jeszcze tak daleko, aby mogły stanowić dostateczny materjał do dokładnego opisu, ale nie zgadzamy się z nim, że praca, jąką nas obdarzył, z powodu szczupłości ram, nie daje nam dokładnego obrazu Galicji wschodniej. My przeciwnie, znaleźliśmy, że autor, mimo szczupłych ram, umiał dać nader dokładny (ile to jest możebne) i jasny obraz naszych stosunków geologicznych; zgromadził wszystko, co się zgromadzić dało dla wyjaśnienia, gdzie, jak i w jakiej ilości znajdują się kopaliny, a że dziełkiem swem rozwiał nie jedno nasze marzenie, że wyprowadził nas z błędu co do ukrytych skarbów, poczytujemy mu za zasługę. Okłamywanie samych siebie w kwestjach wielkiej żywotności dla kraju, jest zawsze zgubne i lubi mścić się. Starajmy się dobyć z ziemi co ona dać może, a nie żądajmy od niej niepodobieństw. Ten był — zdaje mi się — cel autora, gdy siadał do pisania swego dziełka, które czyta się jak najciekawszą powieść, a uczy jak najwytrawniejszy pedagog. Autor, panując nad przedmiotem, umie go ożywić; język, którym się posługuje, jest czysty, zwroty jego udatne, wysłowienie barwne i pełne dobitności. Nawet najmniej z geologją obznajomiony czytelnik potrafi autora zrozumieć, i z tego to powodu, jak niemniej z powodu ważności przedmiotu, o którym mówi dziełko, radzibyśmy, aby praca pana Dunikowskiego znalazła uznanie i popyt u publiczności, gdyż na to, ze wszech miar, zasługuje.

*W. J. Wdowiszewski.*

# Wiadomości z kraju i ze świata.

## Literatura.

*** Profesor lwowskiego uniwersytetu dr. Br. Radziszewski wydał w oddzielnem odbiciu pracę p. t. „Ueber die Phosphorescenz der organischen und organisirten Körper." Rzecz ta była drukowaną w Justusa Liebiga Rocznikach Chemii. O pracy tej pomówimy wkrótce obszerniej.

*** Nakładem Filipa Sulimierskiego wyszła obecnie rzecz p. t. „Ze wspomnień żołnierza", przez Władysława K. Zielińskiego.

*** „Sąd honorowy", ostatnia komedja Edwarda Lubowskiego, opuściła prasę w Wilnie, jako drugi tom wydawnictwa Elizy Orzeszkowej i spółki.

*** Wyszedł z pod prasy obrazek ludowy w jednym akcie przez p. Ign. Frey'a p. t. „Powrót z Saskiej kępy".

*** Pan Klemens Junosza, uchodzący w Warszawie za humorystę, napisał pięcioaktową sztukę ludową p. t. „Mecenas chłopski", która była w tych dniach przedstawioną w warszawskim ogródkowym teatrze Eldorado. Według tego co piszą o niej recenzenci, sztuka nie jest ani komedją, ani dramatem, ani rzeczą ludową, a tylko zlepkiem scen bez związku — utworem chybionym i niesmacznym.

*** Konstantynopolitański dziennik hebrajski „Sabaoth" donosi, iż niedawno znaleziono manuskrypt Piotra apostoła. Uczeni jerozolimscy, których zasięgano zdania co do autentyczności tego manuskryptu, oświadczyli się za jego starożytnem pochodzeniem. Londyńskie towarzystwo biblijne również uznało jego autentyczność i chciało nabyć manuskrypt za cenę 20.000 funtów szterlingów, lecz obecni właściciele nie chcą się pozbyć tej szacownej pamiątki. Z manuskryptu tego zrobione zostanie wydanie fotograficzne.

*** Nakładem i drukiem księgarza Teodora Paprockiego wyszła z druku w przekładzie polskim powieść trzytomowa Danilewskiego p. t. „Dziewiąta fala".

Powieść ta uzyskała rozgłos w bieżącej literaturze rosyjskiej.

*** „Ateneum" w zeszycie za miesiąc sierpień z r. b. zawiera: 1. Sylwek Cmentarnik, przez E. Orzeszkową. 2. Obraz filozofji współczesnej. I. Francja. 3. Walka z centralizmem w Galicji, przez Ignotusa. 4. Listy czeskie, przez Prawdę. 5. Trzy rozdziały z współczesnego życia Norwegji, studjum z podróży odbytej w r. 1879, przez Jana Finkelhausa. 6. Podole u schyłku wieku XV., przez A. Jabłonowskiego. 7. Karolina Świetla, studjum literackie, przez Br. Grabowskiego. 8. Dokumenty odnoszące się do Mikołaia Reja z Nagłowic i jego rodziny, przez Feliksa Rybarskiego. 9. Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu w r. 1879, przez Marjana A. Baranieckiego. 10. Kronika miesięczna.

*** „Gazeta Rolnicza" w Nrze 35 z r. b. zawiera: 1. Projekt ustawy leśnej Królestwa Polskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. W kwestji ochrony lasów, przez Juljana Łapickiego. 4. Listy z Gubernii Lubelskiej, przez Kornela Malczewskiego. 5. Przegląd polityczny 6. Wiadomości bieżące. 7. Rozmaitości. 8. Kurjer rolniczy. 9. Woły robocze, szkice patologiczno-społeczne, przez autora „Kłopotów starego komendanta".

## Sztuki Piękne.

*** Pan Bolesław Syrewicz, znany rzeźbiarz warszawski, bawiący obecnie w Poznaniu, udaje się następnie do Berlina, Brukselli, Düsseldorfu (gdzie obecnie wystawa niemieckiej sztuki) i Neapolu.

W podróży tej zamyśla on zwiędzić przedewszystkiem cmentarze, celem zbadania współczesnego stanu sztuki dekoracyjno-pomnikowej.

Niebawem też stanie pomnik dłuta p. Syrewicza na cmentarzu w Nietrzanowie dla ś. p. Marji Zarembowej.

Pomnik przedstawia genjusz smutku nad sarkofagiem, udrapowanym całunem.

*** W dzienniku włoskim „Il corriero italiano" spotkaliśmy listę premjowanych akademików florenckich

Między obcemi nazwiskami mile wpada w oczy jedyne polskie imię pana Orłowskiego, rzeźbiarza z Warszawy.

Młody artysta pracuje w grodzie Medyceuszów z wielkiem zamiłowaniem sztuki, aby kiedyś talent swój mógł ponieść krajowi w ofierze.

## Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Wiedeńska rada gminna, wskutek prośby krakowskiego komitetu wystawy Sobieskiego, zezwoliła na udzielenie tejże wystawie wszelkich pamiątek i przedmiotów odnoszących się do osoby króla Jana III, które znajdują się w zbiorach miasta Wiednia; są to przeważnie medale i ryciny.

*** W Londynie w lipcu roku przyszłego odbędzie się międzynarodowy kongres lekarski, na który już obecnie są rozsyłane zaproszenia; obrady kongresu prowadzone będą w językach: angielskim, francuskim i niemieckim.

*** W Brukseli w dniach od 6 do 11go września obradować będzie pod patronatem króla belgijskiego a honorowem przewodnictwem ministra robót publicznych, Saincteletta, międzynarodowy kongres handlowy i przemysłowy; kongres podzielony na cztery sekcje: gospodarstwo społeczne, umiejętności, sztuki rzemieślnicze, prawo handlowe.

*** *Antypoda dra Tannera.* Pewien strzelec włoski w Rzymie, nazwiskiem Carlo Janni, liczący lat 63, ogłasza w tamtejszych dziennikach, że podejmuje się w ciągu 12 godzin skonsumować następujące potrawy:

60 funtów pierników winnych.
50 funtów cielęciny.

25 funtów pasztetu.
25 funtów ślimaków w sosie.
50 półmisków sałaty z 20 pieczonemi kurczętami.
60 bułek i to wszystko pokropić 50 litrami wina...
Na deser nadto gotów jest zjeść kosz fig.

Dziennik, z którego czerpiemy tę wiadomość, zapewnia, że ów żarłok już raz w domu zjadł naraz pół cetnara knedli (gałek) ziemniaczanych...

---

# Jeszcze o Tannerze.

Tanner nie przestaje wciąż zajmować swą ciekawą osobistością.

Gazety podają coraz to nowe, tysiączne szczegóły z jego przeszłości, teraźniejszości, a bodaj że nawet proroczym wzrokiem sięgają w przyszłość...

Tanner był dotąd mieszkańcem Minneapolisu, w stanie Minneota i posiada rzeczywiście patent doktora medycyny.

Należy on do szkoły allopatycznej, lecz różni się od niej pewnemi ważnemi szczegółami; głównie co do karmienia się ludzi wyrobił sobie nową teorję, która właśnie spowodowała go do poddania się czterdziestodniowemu postowi.

Podług owej teorji, która zresztą ma do pewnego stopnia i pomiędzy europejskimi fizjologami zwolenników, ogół ludzi dotknięty jest epidemicznem obżarstwem, to jest je daleko więcej, aniżeli do restytucji organizmu potrzeba — i przez to sprowadza na siebie wiele dolegliwości i chorób.

Głód jest najlepszem lekarstwem na wiele chorób.

Przyznać trzeba, że gdyby w samej rzeczy teorja ta okazała się prawdziwą i gdyby na jej zasadzie można było istotnie zmniejszyć obżarstwo ludzi, eksperymenty doktora Tannera nie byłyby prawdopodobnie tak nieużytecznemi, jak mniemają niektórzy.

Podobny przewrót w teorji mógłby mieć bezwątpienia olbrzymie praktyczne znaczenie.

Eksperyment dra Tannera nie jest zrestą pierwszym przezeń odbytym.

Twierdzi on stanowczo i przedstawia na to wiarogodne świadectwa, że w roku 1877 w lecie, bawiąc u swych krewnych w stanie Wisconsin, odbył taki sam post, trwający nawet dłużej, bo 42 dni.

„Jadłem zbyt wiele owoców — mówi on sam — i zostałem za to ukarany gorączką gastryczną; oprócz tego miałem reumatyczne cierpienie serca.

„Byłem nieomylnie przekonany, że zupełne wstrzymanie się od pokarmu jest najlepszym środkiem wyleczenia się z gorączki gastrycznej, zacząłem więc pościć i w kilka dni choroba przeszła..

Wówczas postanowiłem także wyleczyć się z choroby sercowej, a następnie powziąłem zamiar przeświadczenia się ile dni przebyć jestem w stanie bez pokarmu..

„Nic nie jadłem przez *czterdzieści dwa* dni od 15 lipca do 27. sierpnia i moja choroba serca przeszła, jakby ręką odjął..“

Rzecz prosta, opowiadaniu temu żaden z lekarzy nie chciał wierzyć i dla tego dr. Tanner rozpoczął ponownie post czterdziestodniowy.

Wiadomy już jest czytelnikom cały przebieg owego, rzeczywiście zadziwiającego eksperymentu...

Dodać trzeba, że ogół mieszkańców New Yorku był gorączkowo zainteresowany i wzburzony doświadczeniem Tannera.

Pisano na jego cześć wiersze, wygłaszano mowy i nawet kazania, a pod jego oknem urządzane były serenady..

Doktor zresztą namiętnie lubi kwiaty i muzykę.

Codzień mu grano i przy dźwiękach muzyki męczennik nauki czy tam swego kaprysu, zapominał o nurtującym go głodzie...

Bukiety z kwiatami zapełniały salę Clarendon-house...

Codzień Tanner otrzymywał dziesiątki i setki listów głupich, rozsądnych, dowcipnych i... nieortograficznych.

Pewna dama pisała doń: „Djabeł siedzi w tobie: chcesz naśladować Chrystusa, nie wierząc nawet; ale nie uda ci się to, bezbożniku“.

Jakiś metodysta głosił następujące wezwanie w liście: „Pan błogosławi twój wielki czyn; ucz ludzi martwić ciało i jego wszystkie żądze“.

Dalej jakiś amator zakładów (a jest ich w Ameryce tylu, co mieszkańców) pisał: „Gotów jestem wystawić przeciwko panu człowieka, który również nie będzie nic jadł ani pił; trzymam zakład; kto z was pierwsz zacznie jeść lub pić, ten przegra tysiąc, albo, jeśli pan pozwoli, kilka tysięcy dolarów“.

Wreszcie pewna panna bogata, młoda piękna i dobrego domu, zrobiła następującą propozycję Tannerowi: „Ofiaruję panu moją rękę, serce i cały majątek, z warunkiem — że będziem jadali tylko trzy razy na miesiąc.“

Dodać tu należy, że dr. Tanner był już żonaty i rozwiódł się z żoną dla jej zbytniego „obżarstwa“ to jest dla tego, że jadła tyle, ile zwykli śmiertelnicy.

Czy więc nie przyjmie ofiary pięknej *miss* — kto wie?

Prawdziwie uroczystym w szeregu dni tannerowego posu był, rzecz prosta, dzień czterdziesty, dzień tryumfu.

Tłumy zapełniły wówczas salę Clarendon-house i zalegały ulicę...

Gdy Tanner, wbrew zresztą proponowanemu mu przez lekarzy rozkładowi jadła, skonsumował pierwszą morelę i wypił pierwszą szklankę mleka, zapał był powszechny...

„Gdybyście mogli wyobrazić sobie — rzekł on otaczającym — rozkosz, której w tej chwili doznałem, każdy z was zdecydowałby się wypościć 40 dni“..

Tanner otrzymuje obecnie mnóstwo propozycyj od różnych ciał naukowych, kolegjów lekarskich — i przedsiębiorstw....

Na wszystko to jednak mało zwraca uwagi i każe proponującym mu czekać...

»*Teraz* — twierdzi on — *mam jeden tylko cel — jeść, jeść i jeść*«...

* *
*

*Tanner miał poprzedników*

Różnemi czasy zdarzało się bowiem, że albo skutkiem wypadku, albo też z powodu innych przyczyn, różni ludzie pościli przez czas równy postowi dra Tannera, a nawet dłuższy.

Rzecz prosta, niektóre tylko z owych faktów zakończyły się zwycieztwem sił żywotnych nad głodem, a z tych ostatnich pewna ledwo cząstka dojść do nas mogła.

Pomimo to gazety angielskie i niemieckie pilnie wygrzebują z popiołów przeszłości tego rodzaju fakta i podają do wiadomości ogółu — z okoliczności dra Tannera.

Jednym z najciekawszych tego rodzaju faktów jest opowiadany przez gazety angielskie, a nawet podobno dokumentami historycznemi stwierdzony wypadek niejakiej Cecylii Ridwagh.

W roku 1347, za panowania Edwarda III., kobieta owa za zabójstwo skazaną została na 40 dni najsurowszego postu w więzieniu, co uważano za równoznaczne — śmierci.

Skazana jednak przetrzymała post i jak powiada dokument „sławetny monarcha, ujrzawszy w tym cudzie szczególny znak łaski Boskiej“, ułaskawił nieszczęśliwą...

Żyła ona potem jeszcze lat kilkanaście.

Na początku znów bieżącego roku dwie siostry wieśniaczki w górach Szwajcarji zarzucone zostały lawiną śniegową w obórce...

Pod śniegiem pozostawały one (mając zresztą zapewnione oddychanie przez szczeliny w śniegu) dni blisko 70.

Przez cały ten czas żyły tylko śniegiem, który rozpuszczały sobie w ustach.

Znaleziono je po owych dniach 70-ciu wychudłe, bez sił i prawie bez przytomności.

Starsza zmarła, młodszą zdołano odżywić.

Trzeci fakt tego rodzaju podaje opowieść hiszpańska, zresztą bardziej na legendę zakrawająca, którą powtarzają obecnie gazety.

Oto w XIII. już wieku pewien pobożny kapłan w Barcelonie postanowił uczcić 40-dniowy post wielkanocny i w tym celu zamierzył nie przyjmować przez ten czas żadnego pokarmu.

W tym celu, podczas rozgwaru zabaw, na tydzień jeszcze przed rozpoczęciem postu, zamknąć się kazał wraz z modlitewnikami i wyobrażeniem Chrystusa, w swem mieszkaniu i nie wychodził zeń, aż dopiero pierwszego dnia Wielkiejnocy.

Pomimo to nie przyjął pokarmu przez święta i dopiero po ich skończeniu zmarł, pełen rozradowania...

W dawnej Polsce zdarzać się także mieli ludzie, odbywający o wodzie tylko, jeśli nie cały, to przynajmniej część postu wielkanocnego...

W Niemczech znowu w XII. wieku, jak są na to wiarogodne świadectwa pewien rycerz, schwytany przez jakiegoś nieprzyjaźnego mu barona, został wrzucony do lochu pod zamkiem.

Przeznaczono go na śmierć głodową...

On jednak, natrafiwszy w jednem z rozgałęzień podziemia na źródło z wodą, żył tam 43 dni, dopóki sobie znalezioną w lochu kością ludzką nie przebił ściany lochu i nie uciekł..

W zeszłym wieku znowu obserwowany był w Lugdunie dziwny i ciekawy wypadek choroby na pewnej 17-letniej dziewczynie, która przez 29 dni leżała nieprzytomna, nieprzyjmując żadnego pokarmu ani napoju...

Miał wreszcie dr. Tanner mimowolnego poprzednika z psiego rodu

Oto „Times“ podaje bardzo ciekawy następujący fakt:

Pewien mieszkaniec hrabstwa Dewonshire wyjechał w podróż na kilkadziesiąt dni i w chwili wyjazdu spostrzegł, że zginął mu ulubiony wyżeł.

Pomimo poszukiwań, psa w żaden sposób znaleźć nie było można.

Dopiero po powrocie, gdy wszedł przypadkiem do swej biblioteki, znajdującej się w oddalonej części domu, spostrzegł psa...

Zamknął go tutaj przypadkiem — sam.

Nieszczęsne zwierzę pozostawało tu bez pokarmu i napoju przez 36 dni, wychudło jak szkielet i straciło prawie wzrok...

Pierwszym jednak ruchem psiny było rzucić się do nóg pana i lizać mu ręce.

Dzięki staraniom, psa zdołano przyprowadzić do zdrowia i siły.

Garstkę ciekawych tych faktów powiększyćby można jeszcze kilkoma, podawanemi zresztą z mniejszą pewnością— dość jednak, sądzimy będzie i tych, które zresztą przyjmować także należy z pewnemi zastrzeżeniami.

W każdym razie, jeśli porównamy je z ogólnemi w tym względzie zasadami nauki, ujrzymy, że nie ma w nich nic zasadniczo niemożebnego.

*K. W.*

---

**Treść Nr. 35.**



Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.